W 25 rocznicę powstania PPR — str. 3

Wiersze poetów rzeszowskich — str. 6

K. A. Jaworski „Wakacje za granicą" — str. 6–7

A. J. Bień „Stary worek" — str. 9–10

CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

# Kamena

LUBLIN 31.I.1967 Nr 2 (359) R. XXXIV DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

## SPÓR O METRYKĘ LUBLINA

KAZIMIERZ MYŚLIŃSKI

DLA wyjaśnienia istoty sporu trzeba sprecyzować jego przedmiot. W tym wypadku idzie nam nie o najstarsze osadnictwo, jakie da się stwierdzić na terenie obecnego „wielkiego" Lublina, lecz o moment początkowy jego egzystencji jako osady typu miejskiego. Ślady osadnictwa sięgają tu do kilku tysiącleci przed naszą erą; taką metryką mogą pochwalić się liczne miejscowości w Polsce i w innych krajach. Rzecz w tym, że prawie w żadnym wypadku nie da się stwierdzić na pewno ciągłości osadniczej. Okresy przerw trwały nieraz setki lat i tysiąclecia; tak było np. z osadnictwem w znanym Biskupinie. Nie da się też wykazać takiej ciągłości w Lublinie.

Pomimo przerw w rozwoju owe prastare osady miały przecież jednolity charakter: były osadami wiejskimi, gospodarczo w zasadzie samowystarczalnymi. Te same ręce uprawiały w nich ziemię i zajmowały się rzemiosłem. Tak było aż do chwili wyodrębnienia się rzemiosła i skupienia rzemieślników w osobnych osadach. Proces ten wyraźniej zaznaczył się na ziemiach polskich w drugim pięćsetleciu n.e. Jednocześnie przebiegał inny proces: tworzenia się organizacji politycznych typu państwowego, najstarszych państw. I jego cechą charakterystyczną było gromadzenie się ludzi związanych bezpośrednio z administracją państwową i ówczesną siłą zbrojną w osobnych osadach.

W rezultacie powstały nowe jednostki osadnicze, odmienne od dotychczasowych osad wiejskich, czyli pierwsze miasta. Były one od początku ośrodkami produkcji rzemieślniczej i wymiany, siedzibami administracji, ośrodkami kultury i kultu religijnego. Rolnictwo odgrywało w nich zawsze właściwie pewną rolę, ale tylko w takim zakresie, jaki był niezbędny dla zapewnienia mieszkańcom stałego zaopatrzenia w żywność.

W Polsce nieliczna zrazu grupa najstarszych osad miejskich powstała w ciągu IX i w pierwszej połowie X wieku, a więc w czasie, kiedy tworzyły się pierwsze większe organizmy państwowe: Wiślan na południu i Polan na północnych ziemiach polskich. Prawdziwy zaś przełom przyniosło z sobą państwo pierwszych Piastów w połowie X wieku, kiedy to powstało więcej miast. Tak więc wytworzenie się grupy najstarszych osiedli miejskich w Polsce przypada na IX i X wiek.

Nie inaczej było w Europie zachodniej. Dzisiaj nauka zarzuca

(Ciąg dalszy na str. 4)

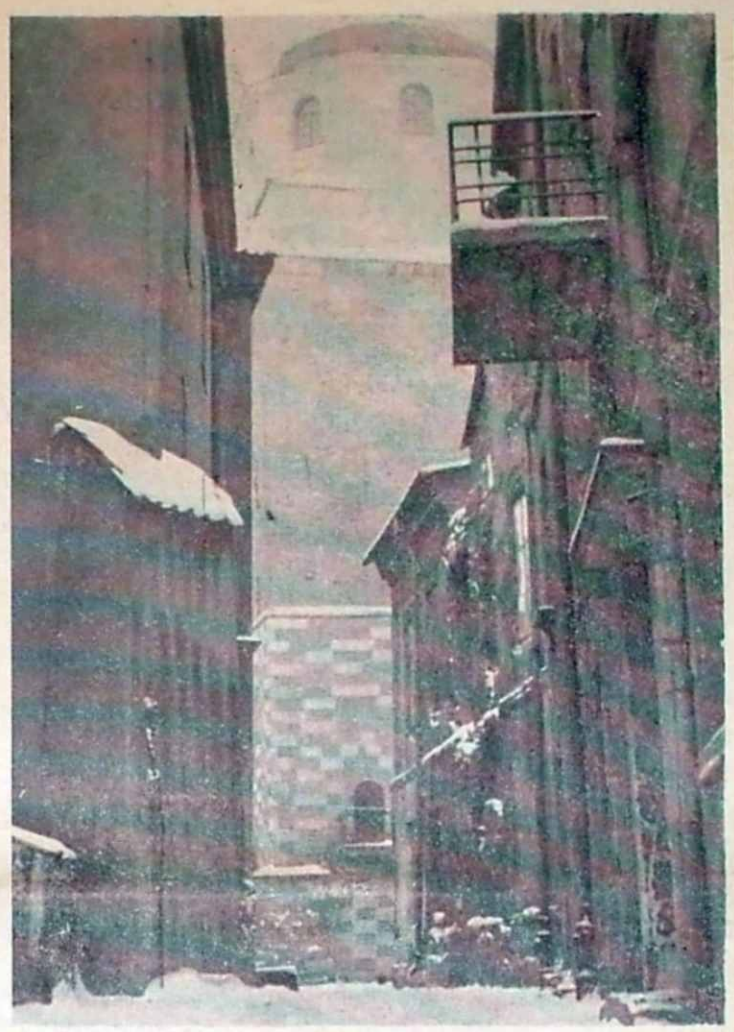

Lublin — Stare Miasto. Fot. A. Jałowiński

## Deficyt artystyczny

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

KOŃCOWY okres ubiegłego roku wypadło mi przeżyć w gąszczu problemów teatralnych, w istnej *macchii* kryjącej mnóstwo „wiecznie zielonych" kontrowersji, które stały się ostatnio niepokojąco wybujałe. Wychynęły one cokolwiek z obrad na Kongresie Kultury Polskiej, zarysowały się dyskretnie na listopadowym posiedzeniu Klubu Krytyki Teatralnej SDP, w rzeczowy już sposób rozważył niejedno trudne zagadnienie II Zjazd Miłośników Teatru, lokalnie zaś w Lublinie zorganizowała redakcja „Sztandaru Ludu" kameralną „sąsiedzką rozmowę z aktorami" na użytek dodatku „Kultura i Życie"...

Otóż ten właśnie, powiedzmy — terenowy, lubelski, kompleciik wypowiedzi, bez względu na jego minimalizm ambicjonalny, a może nawet ze względu na niego, nada się nam chyba szczególnie jako punkt wyjścia refleksji nad pewnymi kłopotami teatralnymi.

W progach gościnnej redakcji zebrali się przedstawiciele wszystkich trzech państwowych teatrów Lublina, lecz przewaga ilościowa była zdecydowanie po stronie sceny dramatycznej, którą reprezentował dyrektor Teatru im. J. Osterwy, Jerzy Torończyk, wraz z grupą swoich notablów. Zabrakło jednak nowego kierownika literackiego, Jerzego Pleśniarowicza — spotkałam go tego dnia w Warszawie wśród Miłośników Teatru.

Gdy dostał mi się do rąk numer „Kultury i Życia" z owym asortymentem sąsiedzkich wynurzeń, zaskoczył mnie, przyznam się, wręcz gderliwy ich ton. Reprezentacja Teatru Osterwy upodobniła się niejako do osławionej damy z waporami, której „nikt nie rozumie".

**Redakcja — inicjatorka cyklu rozmów pokongresowych spodziewała się tym razem, iż ze spraw lubelskiego teatru wypłyną niechybnie trzy następujące: 1. repertuar, 2. baza materialna zarówno instytucji, jak i zatrudnionych pracowników, 3. widownia. Wypłynęła tylko baza materialna. Wprawdzie wynurzała się chwilami ze spienionego nurtu słów i sprawa widowni, atoli także w aspekcie bazy materialnej, a już sprawa repertuaru poszła jak kamień na dno. Była zaledwie „w domyśle" przy ekskuzach dyr. Torończyka. Tymczasem cóż, jeśli nie repertuar, jest dzisiaj w centrum zainteresowania i niepokojów przyjaciół teatru? Uzupełnienie sąsiedzkiej rozmowy uwagami krytycznymi staje się tedy nieuniknione.**

Niektóre żale dyr. Torończyka mogą się wydać słuszne. Sama pisałam w przededniu Kongresu Kultury o potrzebie wyposażenia wszystkich województw w specjalne teatry objazdowe. Od wielu lat, odkąd znam działalność Vesnickego Divadla, trudno mi pojąć, czemu kraj nasz nie daje sobie rady z problemem dawno rozwiązanym przez Czechosłowację. I myślę nadal, że uwolnienie zespołu teatru wojewódzkiego od ustawicznych wędrówek po zakątkach pozbawionych urządzeń niezbędnych do godnej prezentacji spektakli ze sceny zasadniczej mogłoby wpłynąć korzystnie na poziom przedstawień w sie dzibie. Tak, to niezbita prawda. Daleko jednak stąd do twierdzenia, jakoby dyrekcja teatralna nie była w stanie opracować ambitnego repertuaru, „dopóki nie nastąpi podział na teatr miejski i teatr objazdowy".

Przede wszystkim co to jest „ambitny repertuar"? Koniecznie Ionesco, Beckett, Witkacy, za wszelką cenę prapremiera, choćby „znalezisko" w ogóle nie kwalifikowało się do wystawienia? Nie, ambitny repertuar teatru wojewódzkiego to

(Dokończenie na str. 8)

Współczesna myśl filozoficzna

## Nauki społeczne a ideologia

ROMAN TOKARCZYK

ROZWAŻANIA na temat wzajemnego stosunku nauki o społeczeństwie i ideologii podejmowane są od przeszło stu lat. Karol Marks wyraźnie podkreślił szczegółowy wpływ, jaki klasowo uwarunkowany punkt widzenia myśliciela wywiera na sposób rozumienia przez niego społecznej rzeczywistości.

W tym sensie widział on nawet ideologiczne „deformacje" poznania, o czym przesądza wpływ pozycji społecznej autora i interesów klas ekonomicznie panujących. Sądził jednak, że proletariat powinien posiadać wiedzę społeczną wolną od ideologicznych naleciałości, leży to bowiem w granicach jego możliwości poznawczych.

Natomiast Karol Mannheim, twórca nowoczesnej „socjologii wiedzy", przekonany był o nieuchronnym „skażeniu" szczególną perspektywą klasową każdego poznania sformułowanego przez jakąkolwiek klasę. Suma klasowych poznań, gdyby sumowanie w naukach społecznych okazało się możliwe, dałaby w rozumieniu Mannheima obiektywne poznanie społecznej rzeczywistości. Rolę dokonania tej syntezy wyznaczył Mannheim intelektualistom, widząc w nich warstwę niezależną od klas społecznych, a więc zdolną do obiektywizmu.

W tym punkcie stanowiska Marksa i Mannheima rozchodzą się. Marks bowiem poznanie społeczne formowane przez ludzi nauki uważał za zdeterminowane sytuacją społeczno-materialną klasy społecznej poznającego umysłu, przy czym stopień postępowości danej klasy zakreśla granicę obiektywnego poznania. W tym rozumieniu więc obiektywność poznania nie oznacza wcale usiłowania oderwania się od klasowo zdeterminowanych możliwości poznawczych danej klasy społecznej, ale wręcz świadome ich przyjęcie.

Z Mannheimowskiego stanowiska w kwestii obiektywnego poznania, przeciwstawnego klasowej ideologii, zrodziło się w Polsce przeświadczenie o niemożliwości obiektywnego poznania w naukach społecznych z punktu widzenia określonej klasy społecznej. Na błąd tkwiący w takim mniemaniu wskazywano wielokrotnie. Problem jednak jest obecnie w dalszym ciągu bardzo aktualny z powodu pojawiających się tu i ówdzie postulatów oczyszczenia nauk społecznych z ideologicznych naleciałości, a także z uwagi na fakt rodzenia się marksistowskiej koncepcji nauk politycznych, które, być może, rozwiążą dylemat wzajemnego stosunku nauki i ideologii. Temu też będą poświęcone nasze dalsze uwagi.

Rozpatrywanie wzajemnych filiacji nauki i ideologii poprzedzone musi być próbą określenia tych dwu pojęć.

Nie siląc się na wszechstronnie poprawną definicję pojęcia nauki,

(Dokończenie na str. 4)

Z problemów nowej prozy

## Prawda i ograniczenie antynarracji

MACIEJ PODGÓRSKI

AUTORYTETEM swoim usankcjonował Albérès przewijającą się w refleksji krytyckiej ogólną acz wyraźną antytezę pomiędzy zeszłowieczną literaturą jednoznacznych rozwiązań problematyki losu ludzkiego a XX-wieczną literaturą niepokoju, stawiającą pytania i formułującą wątpliwości dotyczące „doli człowieczej". W obrębie owej antytezy znajduje się również — interesujące nas tutaj — zasadnicze przeciwstawienie „awangardowej" prozy obecnego stulecia — „tradycyjnej" epice realistycznej XIX wieku.

Cała złożoność szybko narastającej w naszej epoce wiedzy o człowieku (najprostszy przykład — faktycznych osiągnięć psychoanalizy), natłok obiektywnie ważnych, choć często tragicznych doświadczeń (dwie wojny totalne przedzielone pierwszą w świecie rewolucją socjalistyczną, trudy formowania się nowej struktury ustrojowej w wielu krajach), ogólne procesy cywilizacyjne, a także wielość wynikających stąd istotnych ludzkich niepokojów, problemów i pytań o sens naszego czasu, o sens historii oraz egzystencji jednostkowej — wszystko to nie są sprawy, które w pełni mogłaby udźwignąć — pokutująca zresztą gdzieniegdzie do dziś — konwencja XIX-wiecznej sztuki narracyjnej.

**Toteż zachodzące w obecnym stuleciu procesy artystycznego przełamywania i wyzwalania się z tej konwencji są czymś oczywistym. Zaś w interesującym nas przeciwstawieniu, traktowanym opisowo, a nie wartościująco, tkwi jądro racjonalnej myśli, zwłaszcza jeśli uwzględnimy fakt, iż przychodzi nam tutaj posługiwać się pojęciami modelowymi, wykrojonymi wzdłuż przyjętego aspektu spojrzenia, co prowadzi do określonych cięć i uproszczeń dokonanych na materiale literackim, zarówno w zakresie jego historycznego rozwoju, jak i synchronicznego skomplikowania (boć XIX wiek to nie tylko Stendhal, Balzac czy Tołstoj, ale też Dostojewski, natomiast obecne stulecie to nie jedynie Kafka, Michaux czy — z drugiej strony — Proust i Joyce, lecz także Szołochow, a Tomasz Mann to droga od „Buddenbrooków" do „Doktora Faustusa").**

Literatura polska włączała się — choć z pewnym opóźnieniem — (i włącza się nadal) w różnorakie „awangardowe" nurty przemian współczesnej prozy. Dotyczy to zarówno twórców posługujących się umowną, kreacyjną fikcją o walorach parabolicznych (że wspomnę „klasyczne" już nazwiska Schulza, Gombrowicza i Witkacego), jak i autorów wykorzystujących środki szeroko pojętej konwencji werystycznej. Kiedy Tadeusz Borowski pisał w „Ofensywie styczniowej": „moralność, solidarność narodowa, miłość ojczyzny, poczucie wolnoś-

(Ciąg dalszy na str. 8)

## Literatura

• 2 stycznia Lucjan Rudnicki obchodził 85 rocznicę urodzin. Za najgłośniejsze swoje dzieło „Stare i nowe" otrzymał on pierwszą w Polsce Ludowej państwową nagrodę literacką. 12 wydań tej książki ma łączny nakład 250 tys. egzemplarzy.

• „Koszalin literacki" to tytuł almanachu, wydanego jako specjalny numer periodyku „Zapiski Koszalińskie". Zawiera on utwory środowiska literackiego środkowego Pomorza, a także reprodukcje prac tamtejszych plastyków.

• 240 książek o łącznym nakładzie 5 mln egzemplarzy wyda w tym roku Państwowy Instytut Wydawniczy.

• Na spotkaniu autorskim Erenburg odczytał pierwszy rozdział nowego, siódmego tomu „Wspomnień". A więc mimo dawnych zapewnień autora nie skończyło się na „Odwilży".

• IV kongres Związku Pisarzy ZSRR rozpocznie się w Moskwie 22 maja.

• 8 lutego w jednym z kabaretów angielskich w Greenwich odbędzie się prapremiera sztuki „Machird" — parodii „Makbeta", której autorką jest studentka amerykańska Barbara Garson.

• Niezwykłym powodzeniem w kopenhaskim „Ny Teater" cieszy się sztuka „Bal u burżujów", ostra satyra na wyższe warstwy społeczeństwa burżuazyjnego. Autorów tej komedii muzycznej — Ernsta Bruuna Olsena i Finna Savery — oskarża się, że sztuka spowodowała, iż w ostatnich wyborach do parlamentu partia socjaldemokratyczna straciła 7 mandatów.

• Na dziesięcioleciu „Teatro Club di Roma" wystąpił jeden z teatrów czeskich ze sztuką „Król Ubu".

• Słynny mim francuski Marcel Marceau oświadczył na konferencji prasowej w Berlinie, że w przyszłym roku przystąpi do tworzenia międzynarodowego teatru pantomimy. Przeprowadził już na ten temat rozmowy w Szwecji i w USA.

• Londyński „National Theatre" ma wystawić sztukę „Żołnierze", która jest swego rodzaju niedyskretną biografią Winstona Churchilla. Napisał ją Rolf Hochhuth, autor głośnej sztuki „Wikary".

• W wyniku międzynarodowego konkursu został zatwierdzony do budowy nowy gmach „Teatru Narodowego" w Budapeszcie. Widownia pomieści 1.100 widzów, w sali dla sztuk kameralnych pomieści się 300 widzów.

• W wieku 67 lat zmarł w Moskwie Mikołaj Ochłopkow, jeden z najwybitniejszych artystów teatru radzieckiego, pięciokrotny laureat nagrody państwowej, ostatnio dyrektor teatru im. Majakowskiego.

Gmach nowego teatru na Targu Węglowym w Gdańsku — oddany do użytku 7 stycznia br.
Fot. Tadeusz Link

• W księgarniach radzieckich pojawił się tom tłumaczeń Borysa Pasternaka, zmarłego w 1960 r. Tom obejmuje tłumaczenia Szekspira, Byrona, Goethego, Tagore, Verlaine'a i in.

• To jest bezużyteczna praca: czytanie coraz większej ilości maszynopisów — oświadczyli trzej członkowie jury francuskiej nagrody literackiej Prix Medicis: Nathalie Sarraute, Marguerite Duras i Claude Roy.

• Przebywający 3 lat w Szwajcarii pisarz hiszpański Miguel Sanchez-Mazas został zaocznie skazany przez sąd w Madrycie na 12 lat więzienia za artykuły, które opublikował przed 10 laty.

## Teatr

• 11 stycznia w wieku 85 lat zmarł w Warszawie Arnold Szyfman, jeden z najbardziej zasłużonych działaczy teatru polskiego. Był m. in. twórcą Teatru Polskiego, po wojnie kierował odbudową Teatru Wielkiego. Niedawno wydał pierwszy tom pamiętników „Labirynt teatru".

• W „Starym Teatrze" w Krakowie odbyła się polska prapremiera sztuki Izaaka Babla „Zmierzch" w przekładzie J. Pomianowskiego i reżyserii J. Jarockiego. Kilkanaście dni później tę samą sztukę wystawił teatr warszawski „Ateneum" w reżyserii B. Korzeniowskiego.

• „Teatr Powszechny" w Warszawie wystawił sztukę „Pan Wokulski" w reżyserii Adama Hanuszkiewicza; w rolach głównych M. Dmochowski, E. Wawrzon, Z. Kucówna. Jest to adaptacja „Lalki", co także jest dziełem Hanuszkiewicza.

• Zwycięzcą IV Konkursu Debiutu Dramaturgicznego, organizowanego przez warszawski teatr „Ateneum", został Remigiusz Napiórkowski za sztukę „Wyznawcy". Nadesłano 119 sztuk.

• W dniach 5 i 6 lutego w Warszawie wystąpi wiedeński „Burghteater", pokazując „Dziewczynę z przedmieścia" Nestroya i „Natana Mędrca" Lessinga.

• W pierwszej połowie lutego wystąpi w Warszawie, Krakowie, Gdańsku i Poznaniu 180-osobowy music-hall z Moskwy.

## Sztuka

• W Londynie zmarł w wieku 74 lat wybitny malarz polski Henryk Gotlib, już po wojnie profesor krakowskiej ASP, ostatnio gość honorowy Kongresu Kultury Polskiej.

• Wystawa i sympozjum „Złotego Grona" — to nazwa imprezy, po raz trzeci organizowanej przez plastyków woj. zielonogórskiego. W tym roku obok plastyków współczesnych będą eksponowane prace Witkiewicza, Chwistka i Strzemińskiego. Impreza odbędzie się w październiku.

• Konserwatorka leningradzkiego Ermitażu, Anna Peredolskaja, ogłosiła artykuł, w którym twierdzi, że kupiona niedawno przez muzeum w Luwrze waza scytyjska, wykonana ze srebra i złota, jest fałszywa. Siedem podobnych waz kupiło kiedyś muzeum moskiewskie, a w 1908 r. okazało się, że były to falsyfikaty.

• W ciągu 5 dni policja angielska odnalazła 8 obrazów (m. in. 3 Rubensy i 3 Rembrandty), szacowanych na 6 mln dolarów, a skradzionych z galerii Dulwich w Londynie przez bezrobotnego Michaela Halla.

• To najbrzydsza rzecz, jaką widziałem w życiu — oświadczył prezydent Johnson, gdy znany w USA malarz Peter Hurd przyniósł mu jego portret, który miał być zawieszony w Białym Domu. Po burzliwej dyskusji malarz zwrócił 6 tys. dolarów zadatku. Narodowa galeria portretów w Waszyngtonie uznała portret za bardzo dobry i chce umieścić go w swoich zbiorach „jako niezwykle realistyczny".

**W następnym numerze:**

**Dyskusja o renowacji Zamościa**

• We włoskiej miejscowości Torchiarolo w prowincji Brindisi pewien wieśniak znalazł tuż pod ziemią wspaniałą i w doskonałym stanie amforę rzymską wysokości 1,3 m oraz średnicy ponad 3,5 m.

• Nieznany sprawca skradł z pewnej wystawy w Launceston w Tasmanii rzeźbę Rodina, którą jednak następnego dnia porzucił na ulicy.

• W okolicy Drezna znaleziono doskonale zachowany cmentarz z epoki brązu. Dotychczas zarejestrowano 1300 urn.

## Muzyka

• Londyńska orkiestra BBC dała dwa koncerty w Warszawie. Dyrygował Pierre Boulez, solistą był pianista John Ogdon, laureat konkursu im. Czajkowskiego w Moskwie z 1962 r.

• 125 koncertów dla uczczenia Millenium — oto zeszłoroczny plon Szczecińskiego Towarzystwa Muzycznego im. H. Wieniawskiego. Jedną z popularnych form są niedzielne koncerty kameralne „przy świecach i kawie" w zamku Książąt Pomorskich.

• W końcu czerwca odbędzie się w Poznaniu pierwszy międzynarodowy festiwal chórów chłopięcych. Organizatorem jest Wielkopolskie Towarzystwo Kulturalne.

• W wywiadzie dla „New York Rewiew of Books" Igor Strawiński wyraził się z uznaniem o polskiej muzyce współczesnej, a zwłaszcza o „Erotykach" Tadeusza Bairda.

• Jako jedyny spadkobierca Ravela — 61-letni Aleksander Taverne otrzymuje rocznie 200 tys. dolarów honorariów. Mimo to nie zajmował się swoim dobroczyńcą i dopiero ostatnio w starych szafach odkrył 1500 nie wydanych kompozycji sławnego muzyka.

• W Bolonii otwarto nową scenę operową. Na otwarcie wystawiono „Turka we Włoszech" Rossiniego.

• Krynica wystąpiła z propozycją organizowania co roku międzynarodowego festiwalu pieśni i arii im. Jana Kiepury.

## Film

• 8 stycznia na dworcu we Wrocławiu zginął śmiercią tragiczną znakomity aktor polski Zbigniew Cybulski, odtwórca głównej roli w „Popiole i diamencie". Dopiero za kilka miesięcy ujrzymy jego dwa ostatnie filmy: „Cała naprzód" w reż. St. Lenartowicza i „Jowita" w reż. J. Morgensterna.

• Znany z filmów telewizyjnych reż. Majewski zadebiutował w filmie fabularnym. Na ekrany wszedł film według jego scenariusza „Sublokator".

• 27-letnia włoska aktorka filmowa wydała książkę pod sugestywnym tytułem „Jak uwodzić mężczyzn". W tym samym czasie grała główną rolę w „Bel Ami" Maupassanta.

• Włoski aktor komiczny, Nino Manfredi, zrealizuje film niemy, który będzie satyrą na współczesne społeczeństwo.

• W Tokio wyświetla się film „Dola człowieka" według powieści Jumpei Gomi. Jeden seans trwa 9,5 godziny. W ceny biletów wkalkulowano obiad i kolację.

• Micheline Presle: czego sobie życzę w 1967? Nienawidzę pieniędzy i chciałabym ich mieć tyle, abym przez cały rok nie musiała o nich myśleć.

## Polonica

• W Brześciu, a potem w innych miastach obwodu brzeskiego i Wołynia, eksponowano wystawę „Dzieci Zamojszczyzny oskarżają". Po powrocie do kraju wystawa będzie pokazana w Katowicach, Kielcach i Łodzi.

• 17 lutego w teatrze „Helsingin Kaupunginteatteri" odbędzie się premiera „Wesela Figara" w reżyserii Adama Hanuszkiewicza, z muzyką Kuryliewicza.

• 12 przedstawień dało „Mazowsze" w Wenecji, Neapolu, Turynie i Bergamo. W marcu zespół wyjeżdża na „Dni kultury polskiej" do Wiednia, a w sierpniu do Australii i może do Indii.

• Prezes Indyjskiej Akademii Sztuk Pięknych, pisarz dr Mulk Raj Anand, otworzył w Delhi wystawę polskiego plakatu i sztuki graficznej.

• „World Theatre" w Aldwych organizuje IV sezon międzynarodowy. Wśród 8 teatrów są: polski, czeski, japoński i włoski.

• W Bułgarii ukazała się książka J. Stryjkowskiego „Głosy w ciemności". Recenzje są bardzo pochlebne.

• W Czytelni Polskiej w Wiedniu odbyła się prelekcja pod tytułem „Nowa muzyka w Polsce". Prelegentem był naczelny redaktor „Oesterreichische Musikzeitschrift", Walter Szmolyana.

• W Filadelfii została otwarta 19 stycznia wystawa skarbów kultury polskiej. Wszystkie eksponaty pochodzą z identycznej wystawy, eksponowanej poprzednio w Chicago.

• Belgradzka „Polityka" zamieściła obszerne fragmenty książki Tomasza Sobańskiego „Ucieczki oświęcimskie".

## Różne

• Ponad 50 wystaw zagranicznych będzie w tym roku eksponowanych w Polsce. Wśród nich ikony staromacedońskie z Jugosławii, karykatury polityczne z ZSRR i wystawa teatralna z Indii, współczesnej sztuki włoskiej, surrealistów belgijskich itd.

• W lipcu odbędzie się w Moskwie międzynarodowa wystawa książek, poświęconych 50-leciu Rewolucji Październikowej. W ramach wystawy odbędzie się konkurs wydawniczy na ekspozycje.

• Na czele delegacji PRL, która była obecna na uroczystościach państwowych w Tanzanii z okazji 3 rocznicy rewolucji na Zanzibarze, stał minister kultury i sztuki Lucjan Motyka.

• Wydawnictwa polskie wespół z wydawnictwami zagranicznymi wydały w ub. roku 50 polskich książek. Na rok bieżący zawarto już umowy na 40 książek.

• W czasie robót remontowych runęła wieża ratuszowa w Świdnicy, na szczęście obeszło się bez ofiar. Budowę wieży zapoczątkowano w 1291 r., ostatnia przebudowa z 1717 r.

• W pierwszej połowie stycznia w Warszawie i 5 innych miastach występował radziecki zespół estradowy „Drużba". Piosenkarką jest Edyta Piecha, córka polskiego górnika we Francji, która po studiach w Polsce wyszła za mąż za kierownika zespołu, Aleksandra Broniewickiego.

• Słynna pieśniarka francuska Juliette Greco spędza miesiąc miodowy ze swoimi mężem Michel Piccoli w ZSRR. W czasie miesięcznego pobytu wystąpi ona w głównych miastach z recitalem 23 piosenek, wśród nich z nową piosenką „Październik".

• W serii „Życie sławnych ludzi", zapoczątkowanej w ZSRR jeszcze przez Gorkiego, ukazał się tom o słynnym entomologu francuskim Jean-Henri Fabre. Autorami są E. Wasiliew i I. Kalifman.

• W zawsze bardzo prawomyślnym (wobec kościoła) piśmie „Lumière et Vie", wydawanym przez zakon dominikanów w Lyonie, profesor teologii moralnej ojciec M. R. Beaupère pisze m. in.: „Teolog nie może potwierdzić z całą pewnością, jak to zapewnia objawienie, że diabeł istnieje rzeczywiście... Nie można używać światła elektrycznego, radioodbiornika, szukać pomocy we współczesnych klinikach i równocześnie wierzyć w świat duchów i cudów Nowego Testamentu".

• Na konferencji prasowej w Watykanie dwóch kardynałów oświadczyło, że nie wolno odtąd grać w kościołach w stylu ye-ye. W ostatnich miesiącach w kilku kościołach amerykańskich i francuskich wykonywano różne utwory muzyki liturgicznej przez orkiestry, złożone z gitar elektrycznych, perkusji itp.

• Myślałem że zwariuję, zanim utworzę Sierra Leone National Ballet — twierdzi John Akar, dyrektor tego zespołu. — Aby wyselekcjonować 45 tancerek musiałem oglądnąć w tańcu 20 tysięcy dziewcząt.

• Turyści, zakochani w paryskim Montmartre, będą zasmuceni. Dzwonnica tamtejszej bazyliki, górująca nad dzielnicą pisarzy, malarzy i piękności nocy, będzie zburzona, bo grozi jej zawalenie.

• W stolicy ukazał się pierwszy numer „Warszawskiego Informatora Kulturalnego". Ten dwutygodnik będzie zamieszczał informacje o teatrach, kinach, imprezach artystycznych, wystawach, odczytach, wieczorach autorskich itd.

Jestem chyba idealną kobietą-kotką na wzór Sylwii Sydney czy Simone Simon, którymi tak bardzo wzruszali się wasi ojcowie — twierdzi Evi Marandi. Mimo włoskiego brzmienia pseudonimu jest Niemką.

TIBOR CSERNUS, twórca reprodukowanych „Aktorek", urodził się w 1927 r. w Kondoros na Węgrzech. Brał udział w wielu wystawach krajowych i zagranicznych, m. in. w I Biennale w Paryżu. Laureat najwyższych węgierskich nagród artystycznych w latach 1952 i 1963. Obok malarstwa i grafiki zajmuje się ilustracją książkową. Malarstwo Csernusa związane jest z surrealizmem.

***Notes węgierski***

# Demografia i wychowanie

SPECJALNĄ uwagę budzą w tej chwili nad Dunajem niekorzystne procesy demograficzne. Sytuację tego kraju można by scharakteryzować jednym zdaniem: coraz mniej dzieci, coraz więcej ludzi starych. W 1926 roku liczba mieszkańców Węgier wynosiła 10.166 tys. osób. Jak przewidują demografowie, za 14 lat, to jest w 1980 roku, będzie na Węgrzech 10.628 tys. mieszkańców. Wynika z tego, że średni przyrost roczny wyniesie 33 tys. osób. Dla porównania — roczny przyrost ludności Polski wynosi 314 tys.

Od wielu lat przyrost naturalny na Węgrzech utrzymuje się w granicach 3 prom. jest więc jednym z najniższych na świecie. Ma to swoje poważne konsekwencje. Społeczeństwo Węgier coraz bardziej starzeje się, przesuwają się proporcje w poszczególnych rozdziałach wieku. Już obecnie liczba mężczyzn w wieku emerytalnym wynosi 14 proc., kobiet — 24 proc. Ogółem emerytury otrzymuje 1.900 tys. osób, czyli prawie jedna piąta narodu. W końcu 1980 roku produktywna część ludności kraju będzie musiała utrzymać więcej emerytów niż dzieci.

Problem ten spędza sen z powiek ekonomistów. Jeśli taka tendencja utrzyma się przez dłuższy czas, to pojawią się kłopoty z siłą roboczą. Nic więc dziwnego, że szuka się środków zaradczych. Największy procent bezdzietności wykazują środowiska kobiet pracujących.

Ciekawe światło na przemiany, zachodzące w postawach młodzieży węgierskiej rzuca ankieta, jaką nauczyciel szkoły przemysłowej im. Andrasa Gaspara w Kecskemet przeprowadził wśród 16-letnich uczniów. Ankieta pt.: „Rola religii w mym życiu" miała charakter krótkiego, domowego wypracowania, nie podpisanego przez autora, a więc całkowicie anonimowy.

Spośród 368 uczniów tylko 6 nie napisało odpowiedzi. Reszta złożyła mniej lub bardziej obszerne wypracowania, w sumie niezwykle ciekawy materiał, dający niezłe wyobrażenie o sposobie myślenia młodych dziewcząt i chłopców. Trudno przytoczyć tu wszystkie odpowiedzi. Ograniczmy się do jednego pytania ankiety: „Czy wierzę w Boga?". Zobaczmy, co na ten temat mówi węgierska młodzież".

**Ogółem spośród zapytanych 368 uczniów 187 odpowiedziało, że wierzy w Boga, 50 zaś stwierdziło, że ma na ten temat poważne wątpliwości. Oto niektóre z nich: — Moim zdaniem Bóg istnieje, ale nie jestem tego pewien. Rzadko chodzę do kościoła i od czasu do czasu odmawiam pacierz. — Wierzę w Boga, modlę się, bo mi z tym dobrze. Mam jednak wątpliwości. Czy Bóg mógł stworzyć w ciągu 6 dni świat? Czy winy będą mi naprawdę odpuszczone, jeśli powiem o nich księdzu na spowiedzi? — Czy Bóg istnieje, nie wiem. Chodzę do kościoła, gdyż lubię słuchać kazań. Uważam, że religia jest przyjętym przez ludzi zwyczajem. Dla mnie wątpliwe jest np. czy Bóg zmartwychwstał.**

**285 uczestników ankiety stwierdziło, że nie wierzy w Boga. Oto typowe uzasadnienia tej odpowiedzi: — Moim zdaniem nie Bóg stworzył człowieka, ale człowiek stworzył Boga. — Nie wierzę w Boga, ale mam inną wiarę, której nie kieruję w stronę mieszkańców niebios. Wiara moja poświęcona jest bardzo ludzkim sprawom. Wierzę w to, że ludzkość będzie żyła szczęśliwie i w pokoju. Wierzę w ludzkość, w jej szlachetne plany i zamiary. — Nie można rozumowo udokumentować istnienia Boga, dlatego też jestem niewierzący. Jeśli Bóg istniałby w niebiosach, astronauci na pewno spotkaliby się z nim. — W Boga wierzą tylko starzy ludzie. Mnie rodzice już mądrze wychowali. Nasza rodzina jest ateistyczna. — Moi rodzice są bardzo wierzący. Pragnęliby, abym ja również był takim. Dlatego zabraniali mi czytania książek, zabraniali mi zapisać się do KISZ (Związek Węgierskiej Młodzieży Komunistycznej). Doszedłem do wniosku, że religia tylko otumania ludzi.**

Dość często poddaje się publicznej krytyce takie szkodliwe zjawiska, jak drobnomieszczański egoizm i samolubstwo, kradzieże mienia społecznego i pogoń za korzyściami materialnymi, chęć dorobienia się za wszelką cenę.

Ale przy tej okazji niesłusznie uogólnia się poszczególne wypadki oskarżając o drobnomieszczaństwo i „niuchanie" za korzyściami materialnymi ludzi, którzy własną pracą stworzyli sobie lepsze warunki życia. Więcej, rozlegają się pytania, co będzie, gdy wprowadzi się nowy mechanizm gospodarczy. Sam fakt — argumentują krytycy — że w nowym systemie gospodarczym wzrośnie niepomiernie rola stosunków towarowo - pieniężnych, że zarobki w większej niż dotychczas mierze będą zależały od indywidualnych osiągnięć w pracy, że na pierwszy plan wysunie się współzawodnictwo również między przedsiębiorstwami oparte o zainteresowanie natury materialnej — wszystko to razem stworzy jeszcze większe możliwości umocnienia się drobnomieszczańskiego egoizmu i pragnienia uzyskiwania dóbr nieuczciwą drogą.

Na te wątpliwości odpowiedział niedawno dziennik „Nepszabadsag".

**— Jeżeli w nowym systemie zarządzania gospodarką narodową będziemy konsekwentnie stosować zasady podziału według wykonywanej pracy, co oznacza, że za nie wykonaną pracę nikomu nie należy się wynagrodzenie, przed nikim nie otworzą się możliwości nieuczciwego zarobku. Zwiększy się natomiast możliwość zarobku uczciwego. Jest to interes nie tylko indywidualny, ale również społeczny i całkowicie odpowiada idei socjalistycznego podziału.**

**...Trzeba dokładnie zdawać sobie sprawę, co jest przejawem drobnomieszczaństwa, a co nim nie jest. Nie są na pewno zarażeni egoizmem drobnomieszczańskim ludzie, posiadający samochód, domek campingowy, zmechanizowane gospodarstwo domowe. Czy nie po to walczyliśmy i walczymy dziś — zapytuje autor — aby jak najwięcej ludzi posiadało wszystko to, co jest potrzebne do wygodnego i spokojnego życia? Jeżeli nazwiemy drobnomieszczańskim chomikarstwem i egoizmem wszystkie formy osiągania dóbr materialnych, to będzie to niewątpliwie atak na słuszną socjalistyczną zasadę „każdemu według pracy", którą w przyszłości pragniemy jeszcze konsekwentniej realizować.**

Węgierskie poszukiwania odpowiedzi na problemy jakie niesie życie nie są nam obce. Budownictwo socjalizmu polega przede wszystkim na przekształceniu stosunków międzyludzkich, na uformowaniu nowej świadomości człowieka. Na Węgrzech mówi się o tych sprawach i wyciąga z nich wnioski. **(Jb)**

**W 25 rocznicę powstania PPR**

# TAKIE BYŁY POCZĄTKI

*— Czy może mi pan sprzedać wlorie? — zapytał młody, niski człowiek, gdy z mieszkania tapicera Gawrońskiego przy ul. Krakowskie Przedmieście 20 wychyliła się jakaś głowa. W Lublinie zawsze handlowano końskimi ogonami, zwłaszcza gdy w Biłgorajskiem rozwinęła się produkcja sit. Nawet więc gestapowiec, który przed chwilą minął młodego człowieka na ulicy, nie doszukałby się w tym zapytaniu niczego podejrzanego. Chociaż gdyby wiedział, że pukający ma za sobą 214 studni, wykopanych na chłopskich podwórkach i że w związku z tym bardzo szerokie kontakty...*

*Gdy głowa w drzwiach kiwnęła potakująco, a niewidoczne w cieniu ręce szerzej odchyliły drzwi — Stefan Kamiński wszedł do środka. Adres i hasło przekazał mu przed kilkunastu dniami Bogdan Parczyński. Spotykali się obaj od 13 lat. Na zebraniach KZMP i KPP, na różnych wiecach i pochodach, wiedzieli o sobie nawzajem, że i jeden i drugi miał przerwy w życiorysie lojalnego obywatela sanacyjnej Polski, skrzętnie wypełnione przez areszty i więzienia. Ale nawyk już 13-letniego życia w konspiracji odezwał się znowu. Może nastąpiła wsypa? — przemknęło mu przez myśl. Ale nie — za stołem siedział współtowarzysz z celi więziennej na lubelskim Zamku, Franciszek Jóźwiak, i kilku innych znajomych. Ich swobodna rozmowa gwarantowała, że wszystko było w porządku.*

SIEDZIMY teraz — po 25 latach od tego wydarzenia — w wygodnych fotelach i popijamy kawę. Za plecami nadyma się gorącem kaflowy piec, przez gęste zasłonki nawet nie widać, że na dworze szaleje śnieżyca. Stefan Kamiński (ps. Gieniek), jeden z członków — weteranów Polskiej Partii Robotniczej na Lubelszczyźnie, wspomina czasy organizowania pierwszych komórek partii. Jakże łatwo w takich chwilach o wzniosłe tyrady, łzawe laurki czy to, co po 25 latach nazywamy — jakże niesłusznie — sloganami. Ale nasz rozmówca nie cedzi słów, nie dobiera pięknych zdań. Od czasu do czasu zamyśli się — tu uciekło imię, tam nazwisko lub pseudonim, jakiś fakt zatarł się w pamięci. Nie opowiada, przeżywa raz jeszcze to, co działo się wtedy. Z natłoku wspomnień wypływają i rzeczy ważne dla wszystkich, i osobiste drobiazgi. Przeskoki myśli, niedokończone zdania i luki chronologiczne mogą trochę zaniepokoić historyka — ale stwarzają atmosferę, są jakże potrzebnym uzupełnieniem tego, co można przeczytać w książkach i rocznicowych artykułach.

Więc...

— Więc to spotkanie u Gawrońskiego odbyło się 10 czerwca 1942 r. Oprócz Jóźwiaka byli: Ryszard Postowicz (ps. Murzyn), Michał Wójtowicz (ps. Zygmunt) i Franciszek Lipa z Opola. Po krótkiej dyskusji — krótkiej, bo wszyscy byliśmy starymi komunistami i nikogo tu nie było trzeba przekonywać — postanowiliśmy powołać do życia Komitet Powiatowy PPR dla powiatu puławskiego. Niestety, nie było kilku moich dawnych towarzyszy: Józefa Majewskiego ze wsi Zagrody, Grygałowskiego z Klementowic — zginęli na Zamku. Jako kandydatów do KP Lipa wysunął Franciszka Mierzwę i Wacława Dobosza (ps. Sęp), który potem zginął pod Borowem. Ja zaproponowałem Józefa Tomasiaka z Przybysławic, Feliksa Głowackiego z Markuszowa i Leonarda Smolaka z Woli Przybysławskiej.

*— Mogli się nie zgodzić na wybór, to groziło wyrokiem śmierci...*

— Jakże mogliby się nie zgodzić — oburza się Kamiński — jeżeli dawniej byli członkami KPP?

*— No i co było dalej?* — pytam szybko, pragnąc zatrzeć wrażenie niezręcznego pytania.

— Natychmiast po powrocie do Przybysławic zwołałem na zebranie tych, których poprzednio podałem. Oczywiście nikt nie odmówił. Podzieliliśmy role: ja zostałem sekretarzem KP, Lipa komendantem Gwardii Ludowej na powiat, Głowacki technikiem, co miało oznaczać, że zajmie się organizacją łączności, kolportażu, wydawaniem prasy i ulotek. Tomasiak objął funkcje zaopatrzeniowca, czyli miał starać się o broń. Kilka dni później przyjechał Wójtowicz. Umiał bardzo dobrze mówić — przekonywał i argumentami, i pięknym słowem. Urządził coś, co dzisiaj nazwalibyśmy otwartym zebraniem partyjnym. Za jednym zamachem zyskaliśmy kilkunastu członków.

*— A następne komórki partyjne?*

— Pod koniec 1942 r. działały już komitety gminne PPR w Garbowie, Markuszowie, Kurowie, Wąwolnicy, Końskowoli i Celejowie. Już nie bardzo pamiętam, w jakiej dokładnie kolejności powstawały. Chyba najszybciej uwinął się Głowacki w Markuszowie i Tomasiak w Garbowie. Józkowi pomagałem w Garbowie, a ponadto zajmowałem się Wąwolnicą. Próbowaliśmy zorganizować komórkę w Nałęczowie, ale nie udało się nam do końca wojny. Dzisiaj to trochę dziwnie brzmi: Komitet Gminny składał się z 5—6 osób. No ale widzicie — wtedy nie chodziło o liczbę członków, lecz o stworzenie ośrodka politycznego, kierującego życiem jednej czy kilku wsi, propagującego program partii — walki z Niemcem, nowego ustroju po wojnie.

*— Wspomnieliście, że wykopaliście w okolicznych wsiach 214 studni. Byliście także aktywnym działaczem Związku Zawodowego Fornali. Chłopi więc was znali...*

— Ano — do 80 kręgów jedna studnia. A nie tylko znali mnie z roboty. Mówiono — o innych towarzyszach także — że przed wojną „siedział za politykę". To było doskonałą legitymacją, rodziło i zaufanie, i sympatię. A o najbardziej aktualnych zadaniach stawianych przez partię też wszystko wiedzieliśmy. W drodze do Lublina, Parczewa czy w ogóle na Lubelszczyznę w Nałęczowie wysiadali i przechodzili przez nasze „kontaktówki" Mieczysław Moczar, Jan Sławiński, Hilary Chełchowski, Marian Czerwiński i wielu innych. U pewnego chłopa koło stacji — już nie pamiętam nazwiska — odbieraliśmy regularnie konspiracyjną prasę partyjną z Warszawy.

*— A jak było ze zdobyciem broni?*

— Dużo otrzymaliśmy od chłopów sympatyków partii. Np. przychodzi kiedyś do mnie fornal Jan Walczak i powiada: Stefan, mam karabin i pistolet, wam się bardziej przyda. Innym razem Klocek wydobył dwa zakopane w 1939 r. karabiny. Oni nie byli członkami partii, ale to był chyba najlepszy dowód zaufania ich do partii, do Gwardii Ludowej. Gdzieś na jesieni 1942 r. zorganizowaliśmy jakby grupę samoobrony, obejmującą 20 Żydów, chroniących się w lasach. Daliśmy im broń. Potem dołączały do nas grupy zbiegłych z niewoli niemieckiej żołnierzy radzieckich. W pierwszej był kpt „Tolko", nieco później żołnierz „Mikołaj". W Lublinie przy ul. Lipowej znajdował się obóz jeńców żydowskich z armii przedwrześniowej. Lubelscy PPR-owcy zorganizowali masową ucieczkę, część uciekinierów przejęliśmy, odkarmiliśmy, ubraliśmy. Przeważnie przychodzili już z krótką bronią. Całą grupą dowodził „Tolko". Niestety, razem z „Mikołajem" i kilkudziesięciu cywilnymi Żydami zostali zamordowani przez Niemców w bunkrze. Dowództwo objął potem Samuel Jeger. Napływała także młodzież polska. Najczęściej z pobudek ideowych — chęci walki z Niemcami, czasem uciekając przed groźbą wywiezienia do Niemiec. Tak rosły szeregi Gwardii Ludowej. W 1944 r. dostaliśmy część pierwszego zrzutu broni z samolotów radzieckich. To odbywało się pod Lubartowem, przyjęciem zrzutu kierował mjr „Klim". Było tego coś ok. 100 karabinów produkcji włoskiej. Ale chyba wtedy popełniliśmy nieostrożność, paląc dla rozpoznania ogniska. Na drugi dzień uderzyli na nas Niemcy. Z moich 120 ludzi zginęło 9. Podczas drugiego zrzutu operowaliśmy latarkami elektrycznymi. Ja dostałem 400 worków, w każdym po 18 automatów. To drobna część — przyleciało wtedy 10 samolotów.

*— Jak się układała współpraca z innymi organizacjami?*

— Działaliśmy w północnej części dzisiejszego powiatu puławskiego. Stosunki z oddziałami BCh były dobre, czasem bardzo dobre. Spotykałem się z dowódcami oddziałów specjalnych BCh: Zygmuntem Kozakiem i Wacławem Peciem. My, po staremu, jak KPP przed wojną, staraliśmy się tworzyć wspólny front. Doły chętnie szły na to, z wieloma BCh-owcami znaliśmy się osobiście. Później w okresie łączenia BCh z AK całe oddziały przechodziły do nas, zresztą z AK także — np. grupa Wacława Mańki (ps. Piotruś) czy Jana Głosa (ps. Gruszka). Oni burzyli się, że wciąż im kazano czekać, że odbierano broń, że nie dawano możliwości czynnej walki z hitlerowcami. Największy napływ BCh następował we wsiach biedniejszych. W cukrowni Garbów był niezbyt liczny oddział AK, dowodził nim mój przedwojenny kolega Tadek Stachowiak, więc do spięć nie dochodziło. Muszę powiedzieć, że na naszym terenie NSZ nas nie atakowało, nawet dziedzic Broniewski siedział cicho. Zdawali sobie sprawę, że jesteśmy znacznie silniejsi, więc chyba po prostu bali się. Napady na członków i sympatyków PPR rozpoczęły się dopiero po wyzwoleniu. Gdy dzisiaj liczę dawnych towarzyszy okazuje się, że więcej zginęło ich wtedy, niż w czasie okupacji. To potworne ale prawdziwe.

*— Powiatowa Rada Narodowa, organ rodzącej się władzy państwowej, istniała już wcześniej. Od kiedy zaczęło się — jeżeli tak można powiedzieć — oficjalne życie?*

— 23 lub 24 lipca w Przybysławicach, natychmiast po przejściu frontu. Zresztą pierwsze dwa czołgi radzieckie pokazały się u nas jeszcze przed wyzwoleniem Lublina. Pomagaliśmy im w ostrzeliwaniu Niemców, ale kilku naszych chłopców pomyliło się i ostrzelało te czołgi. Oczywiście kule bez śladu odbiły się od pancerzy. Gdy wyjaśniło się nieporozumienie, czołgiści radzieccy przyjaźnie do nas pomachali i pojechali dalej. Przewodniczącym PRN został Stefan Lewtak. Ja już poprzednio zostałem także na jawnym posiedzeniu wybrany sekretarzem KP. Mnie jednak wkrótce wezwano do KC, który miał siedzibę przy ul. Dąbrowskiego w Lublinie. Tam otrzymałem nominację na pełnomocnika do spraw reformy rolnej. Do dzisiaj mam ten dokument. Na 56 majątków dostałem 3 geometrów. Pytam jednego z nich, jak długo potrwa wymierzenie działek w jednym majątku. Powiada, że dwa, może trzy miesiące. Oczywiście nie mieliśmy zamiaru tak długo czekać. Pierwszą parcelację przeprowadziliśmy w Cezarynie pod Markuszowem. Na jakąś tyczkę od chmielu zatknęliśmy czerwoną flagę, ja przy świetle reflektorów samochodowych rozdawałem akty własności.

*— Co na to chłopi, a zwłaszcza służba folwarczna?*

— Wiecie — łatwo dzisiaj powiedzieć, że był olbrzymi entuzjazm. Ale wtedy myślałem trochę inaczej: że warto było uczestniczyć tyle lat w partyjnej walce, że warto było siedzieć w sanacyjnym więzieniu, jeżeli teraz dawało się taką radość innym. Jeżeli tworzyło się im — to przecież bez żadnej przesady — nowe życie.

*— Mimo wszystko jednak całej akcji parcelacji nie można było przeprowadzać żywiołowo...*

— Naturalnie. Zaczynało się od zakładania komitetów folwarcznych, które przejmowały władzę nad majątkiem, zabezpieczały ziarno, narzędzia, zwierzęta. Pod koniec sierpnia komitety folwarczne istniały już chyba we wszystkich majątkach. Najczynniejszymi członkami komitetów byli dawni fornale dworscy. Oni nie mieli nawet kawałka własnej ziemi, a od wielu pokoleń pracowali na właściciela. I bardzo wielu z nich wstępowało do PPR. Nic dziwnego, przecież partia dawała im to, o czym zawsze marzyli. Wśród chłopów początkowo wyczuwało się pewną nieufność, zwłaszcza u starszych. Wiedzieli, że jest dekret o reformie rolnej, słuchali chciwie naszych wyjaśnień, ale przecież pamiętali, że po pierwszej wojnie światowej sejm też uchwalił ustawę o parcelacji i że potem z tej ustawy prawie nic nie wyszło. Ale wahanie nie trwało długo. A przy każdym wydawaniu aktów własności przeżywaliśmy podwójną radość. Że nareszcie na wsi w praktyce — zmienia się całe życie — i że większość z tych, którzy otrzymywali ziemię, równocześnie wstępowała do partii. Oczywiście nie brakowało różnej dywersji. Dekret przewidywał, że można dawać do 5 ha, a przecież nie wszędzie wystarczało ziemi, bywało, iż działki trzeba było ograniczać do trzech czy czterech ha. Dziś wiemy, że taka dobrze zagospodarowana działka wystarcza dla jednej rodziny. Ale wtedy głód ziemi, od wieków nie zaspokojony, był olbrzymi. Wyjaśnialiśmy więc chłopom i fornalom, co i jak. Szczególnie udawało się nam to we wsiach najbiedniejszych, nad Wisłą i tam też najszybciej rosła partia.

*— Czy dawni właściciele majątków stawiali opór?*

— Pewno bardzo chcieli, ale nie mieli siły. Czasem tylko jak w Bronicach — dziedzic zasłaniał się tym, że musi odstawić kontyngenty zboża dla wojska i władz w Lublinie. Ale wtedy oświadczaliśmy krótko, że my to załatwimy szybciej i dokładniej. Przekazywaliśmy więc klucze od spichrzów i stodół bez oporu, przejmował je komitet folwarczny i po przeprowadzeniu tego, co dziś nazywamy remanentem, regulował zobowiązania wobec państwa, zatrzymywał trochę ziarna na siewy, przekazywał konieczne do życia ilości poszczególnym rodzinom. A na te rozdawania aktów własności, co zawsze odbywało się bardzo uroczyście, jeździła z nami orkiestra z Końskowoli.

*— A później, gdy front przesunął się na zachód od Wisły, gdy zakończyła się wojna?*

— Wtedy nastąpiła aktywizacja wszystkich naszych wrogów. Mnożyły się zamachy i sabotaże; jak już mówiłem, więcej towarzyszy ginęło wtedy niż w zmaganiach z hitlerowcami. Najbardziej zaktywizowały się oddziały NSZ. Towarzysza Chmielewskiego np. długo i wyrafinowanie mordowali kopaczem do nawozu. Ale to już chyba inny rozdział walki, jaką toczyła partia.

Wychodzimy z redakcji na ulicę Narutowicza. Mróz zelżał. Śnieg przestał padać.

Kamiński mówi już całkiem prywatnie o córce, która właśnie skończyła organizację izby pamiątek, żegna się i wraca do rodziny. Na spokojny, zasłużony po latach walki i pracy, odpoczynek.

Rozmawiał:
**Jerzy Dostatni**

Stefan Kamiński — Fot. J. Trembecki

Lublin. Lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa. — Fot. A. Polakowski

# SPÓR O METRYKĘ LUBLINA

(Dokończenie ze str. 1)

dawną tezę o przetrwaniu aż do X i późniejszych stuleci miast rzymskich, które w tym mniej więcej czasie miały przekształcić się w miasta średniowieczne i posłużyć za wzór dla nowych osad podobnego typu. Dominuje pogląd, że miasta rzymskie upadły w okresie ruiny Imperium Romanum, a na ich gruzach tliło się życie takie jak w otaczających wsiach. Uległy one zatem degradacji osadniczej, niektóre w ogóle zostały zmiecione z powierzchni ziemi. Dopiero czasy karolińskie (wieki IX i X) ożywiły je znowu i awansowały do rangi miast. Prawdziwą jednak przyczyną tego awansu była nie tradycja rzymska, lecz nowe warunki, jakie wytworzyły się w średniowiecznej Europie. Chronologia najstarszych miast zachodnioeuropejskich i polskich byłaby więc zbliżona, a różnice w ich wyglądzie i organizacji miały źródła wyłącznie w odmiennych warunkach i innej koniunkturze.

W tym podwójnym aspekcie: powstania miast polskich i miast na zachodzie Europy ujmować należy i chronologię najstarszego Lublina. Cofanie jej w dalszą przeszłość, przed wymienione stulecie, byłoby po prostu błędem.

Badania nad początkami najstarszych miast polskich wykazały, że wszystkie one powstały przy warownych grodach, stanowiących w owych czasach rezydencje władzy państwowej, i właściwie stąd ich nazwa: podgrodzia. Lokowano tam te grup społeczne i instytucje, które były niezbędne dla egzystencji grodu, lecz nie mieściły się w jego dość szczupłych obwarowaniach: rzemieślników i ludność służebną, część administracji i jej rodziny, kościoły i inne obiekty. Z uwagi na znaczenie podgrodzia dla samego grodu było ono również obwarowane, co z kolei zmuszało do oszczędnego gospodarowania miejscem. Stąd gęsta zabudowa, wąskie ulice, małe działki budowlane. Zewnętrznie podgrodzie bardzo przypominało późniejsze miasto lokacyjne, a zarówno układ przestrzenny jak i charakter zajęć mieszkańców każą w nim widzieć osiedle typu miejskiego. W każdym razie gród i podgrodzie to dwa niezbędne elementy najstarszych miast polskich. Problem początków Lublina sprowadzałby się więc do odnalezienia jednego i drugiego elementu i do ustalenia chronologii ich powstania.

Na jeszcze jedną prawidłowość trzeba zwrócić uwagę. Wzniesienie zespołu miejskiego, grodu i podgrodzia, w żadnym wypadku nie było w Polsce rezultatem długotrwałej ewolucji. Wszystkie polskie grody — miasta pojawiają się nagle i nie ulega wątpliwości, że mamy tu do czynienia z faktami jednorazowymi i planowymi. Duże koszty inwestycji, ich bezpośredni związek z obronnością kraju i potrzebami administracji państwowej każe je traktować jako inicjatywę państwową. Dla osób prywatnych, jako ich ewentualnych założycieli, nie ma tu miejsca. Podejmując decyzję co do zbudowania grodu — miasta czynniki państwowe kierowały się oczywiście ogólną sytuacją i planami politycznymi. Powstanie Lublina wymaga więc uwzględnienia szerokiego tła ogólnej polityki państwa.

W tym miejscu przechodzimy do sprawy początków tego miasta. Wszystkich poglądów omówić tu nie sposób, literatura zagadnienia jest bowiem bardzo bogata. Ujmując rzecz najogólniej trzeba jednak powiedzieć, że przyjmowano istnienie tutejszego grodu w czasach jeszcze przedpaństwowych, a początki miasta wiązano z początkiem państwa. Cofano je więc do połowy X wieku, bądź do czasów jeszcze dawniejszych.

Gorzej było z dowodami. Za starą metryką grodu miało przemawiać najpierw to, że dawny żydowski cmentarz w Lublinie zwany był w XVI wieku „grodziskiem", a następnie, że nazwa miasta, należąca do typu nazw dzierżawczych, utworzona była od imienia osobowego, brzmiącego może jako „Lubla", przy czym końcówka „in" miałaby wskazywać na gród: Lublin-gród, czyli gród Lubli. Skoro zaś od Mieszka I gród należał do księcia, zatem ewentualne jego prywatne posiadanie trzeba było odnieść do czasów przedpaństwowych. Oba argumenty są tak wątłe, że nie można na nich budować tak daleko idących wniosków.

Za powstaniem miasta w czasach Mieszka I przemawiała najpierw legenda o miejscowym kościele pod wezwaniem św. Mikołaja na Czwartku, który miał być zbudowany zaraz po chrzcie Mieszka, a następnie relacja średniowiecznego kronikarza, Mistrza Wincentego zwanego Kadłubkiem, biskupa krakowskiego, wedle którego Lublin założyła Julia — siostra Cezara. Chociaż w taką wersję nikt wierzyć nie mógł, to jednak wyciągano z niej jeden wniosek: że w przekonaniu Polaków początku XIII wieku, kiedy żył i pisał kronikarz, Lublin był miastem bardzo starym i cofanie jego początków do X wieku było w każdym razie uzasadnione.

Legenda jest bardzo późna i trudno przywiązywać do niej wagę. Zdanie Kadłubka na ten temat jest charakterystyczne przez to, że nie wymienia on grodu lecz miasto, którego początki trzeba oczywiście cofać znacznie przed wiek XIII, ale, jak zobaczymy, niekoniecznie aż do wieku dziesiątego. Użyty przez niego termin łaciński *civitas* nie przesądza zaś charakteru osady.

Przy takiej argumentacji pogląd o bardzo starej metryce Lublina dawno musiałby zniknąć z kart historii, gdyby w czasach nowszych nie wzbogacono go nowymi dowodami. Dostarczyła ich archeologia.

Archeologowie ustalili w zasadzie trzy rzeczy. Najpierw, że odkryta przez nich w toku prac wykopaliskowych w latach 1958—1962 osada na Czwartku, datowana na VI/VII wiek, istniała już nieprzerwanie i była pierwszą formacją osadniczą średniowiecznego Lublina. Następnie, że już wtedy stanowiła ona osadę typu miejskiego: podgrodzie sprzężone z istniejącym w pobliżu grodem obronnym. Po trzecie, że znaleziony na Czechowie skarb monet arabskich z IX wieku jest skarbem kupieckim.

Nasz stosunek krytyczny do powyższych ustaleń opiera się przede wszystkim na spostrzeżeniu, że ciągłość osadnicza na Czwartku nie została wykazana w sposób nie budzący wątpliwości. Wydaje się bowiem, że kilka domów datowanych na okres od XI do XIII wieku nakłada się niejako, nawarstwia na inne, starsze, co sugerowałoby dwa kolejne stadia zabudowy Czwartku — starsze i młodsze. Wydaje się, że starsza osada przestała nagle istnieć w końcu IX wieku, w tym samym więc czasie, kiedy przestały funkcjonować liczne inne grody małopolskie, z bliższych przede wszystkim Chodlik. W XI wieku na miejscu starszej osady na Czwartku powstała nowa, młodsza. Zrodziły ją jednak odmienne, całkiem nowe warunki wczesnopiastowskiego państwa.

Znacznie ważniejsze jest jednak to, co możemy zauważyć na marginesie drugiego spostrzeżenia archeologów. W całym tym długim okresie, poczynając od VI/VII w. aż do wieku XII, nie odnaleziono najmniejszych choćby śladów rzekomego lubelskiego grodu. Nie ma ich ani na Czwartku ani na dawnym żydowskim cmentarzu. Fakt ten posiada swoją wymowę i nic tu nie pomoże twierdzenie, że istnienie grodu jest prawdopodobne, ani też wyjaśnienie, że w toku wiekowego użytkowania cmentarza uległa zupełnemu zniszczeniu wczesnośredniowieczna warstwa kulturowa.

Za dowód pośredni na istnienie grodu można by jednak przyjąć samą osadę na Czwartku (starszą), gdyby wykazywała ona typowe cechy podgrodzia, fosy i wały obronne, regularną zabudowę, skupienie warsztatów wytwórczych różnego rodzaju, nagromadzenie monet i innych elementów handlu. Jak dotąd, nic z tych rzeczy nie odkryto. W tym stanie badań jedynie usprawiedliwiony jest wniosek, że starsza osada na Czwartku była zwykłą osadą wiejską.

Natomiast skarb z Czechowa mógłby przemawiać za miejskim charakterem Lublina tylko wtedy, gdyby znajdował się w obrębie osady czwartkowskiej. Tymczasem znajdował się on daleko poza nią, tam gdzie mogła się mieścić rezydencja jakiegoś feudała, ale nie kupca. Skarby monet arabskich na ziemiach polskich odkrywano zresztą z reguły na terenach nie miast, lecz wsi, a nikt przecież nie uznaje tylko dlatego tych ostatnich za najstarsze miasta.

Formułujemy wniosek końcowy w ten sposób: **w obecnym stanie badań brak wszelkich podstaw do przyjmowania, że ośrodek grodowo-miejski w Lublinie wytworzył się za pierwszych dwóch Piastów czy nawet wcześniej. Wszystko więc wskazuje na to, że jego początków szukać należy w czasach późniejszych.**

Na czas powstania i charakter najstarszego osiedla miejskiego naprowadza sama nazwa Czwartku, oznaczająca w czasach najdawniejszych samodzielną osadę. Nazwy niektórych miejscowości, brane od poszczególnych dni tygodnia, odnosi się w nowszej literaturze do połowy XI wieku, a wyjaśnieniem tego zjawiska jest fakt, że w te właśnie dni odbywały się targi, na których ludność pewnego niezbyt dużego obszaru dokonywała wymiany produktów. Miejscowości targowe posiadały ludność stałą. Składali się na nią przeważnie rzemieślnicy — i w mniejszej mierze — kupcy. Rolnictwo odgrywało rolę drugorzędną. Ze względu na zawodowy skład mieszkańców i na charakter gospodarczy, osady targowe, czyli po prostu t a r g i, uważa się za osiedla typu miejskiego, tak jak podgrodzia. Między podgrodziem a targiem istniała m. in. ta różnica, że gdy pierwsze związane były z grodami, to drugie istniały z dala od nich, także w miejscach, w których moment obronności nie odgrywał roli, były natomiast warunki gospodarczego rozwoju.

Otóż pierwszy kształt miejski najstarszego Lublina miał charakter osady targowej na Czwartku z połowy XI wieku. Jej istnienie potwierdzają pewne źródła pisane późniejsze, przede wszystkim zaś wykopaliska archeologiczne ostatnich lat. Jako miasto Lublin był młodszy od wielu innych ośrodków miejskich, a jedną z cech jego najwcześniejszego rozwoju był brak na miejscu rezydencji władzy, obronnego grodu. Pewne skupisko osadnicze stworzyło potrzebę ośrodka targowego, nie było jednak potrzeby budowania tu już wtedy ośrodka wojskowego i politycznego. Tłumaczyć to może czę-

▶

# NAUKI SPOŁECZNE A IDEOLOGIA

(Dokończenie ze str. 1)

będziemy rozumieli przez nią formę wiedzy społecznej wyróżnianą na zasadzie kryterium „prawda — fałsz". Pojęcie ideologii rozumiane jest na ogół jako system poglądów funkcjonalnych w stosunku do interesów i dążeń określonych grup społecznych.

Przeciwstawienie nauki i ideologii, jak to słusznie ujmuje J. J. Wiatr („Czy zmierzch ery ideologii"), wynika z przeświadczenia o istnieniu sfery poznania rzeczywistości społecznej wolnej od problematyki konfliktowych interesów klas społecznych i z mniemania, że klasowo „skażone" systemy poznania nie dają wiernego odbicia rzeczywistości. Zastanówmy się czy, a jeżeli tak to o ile, stwierdzenie takie jest prawdziwe. Nauka społeczna składa się ze zdań orzekających o rzeczywistości a więc zdatnych do weryfikacji. Ideologia natomiast zawiera w sobie sądy oceniające, wartościujące, postulatywne o rzeczywistości. Tu więc na pierwszy „rzut myśli" zaznacza się ich różnica. Jest ona jednakże pozorna. Nauki społeczne bowiem nie są w pełni wolne od wartościowania, a ideologia zawiera podatne weryfikacji odbicie pewnej rzeczywistości. Jeżeli dalej przyjmiemy za wspólne nauce i ideologii to, że są one dziedzinami świadomości społecznej, dochodzimy do wniosku, że przedmiot ich badań, jak i stosunek do badanego materiału krzyżują się a nie wyłączają. Wolna od tak rozumianej ideologii nauka społeczna musiałaby spełniać postulat braku funkcjonalności wobec interesów określonych grup społecznych. Musiałaby prezentować punkt widzenia całej społeczności ludzkiej, ogółu, a nie jej poszczególnych odłamów. Czy taka nauka społeczna istnieje? Już nawet pobieżna znajomość przedmiotu badań nauk społecznych zdecydowanie przeczy istnieniu tak rozumianej nauki, wypłukanej z konkretnych treści społecznych. W centrum zainteresowania nauk społecznych stoi wiwisekcja pojedynczych faktów społecznych lub ich grup. W tej fazie procesu badawczego ideologia może wnikać do nauki tylko poprzez odpowiednią selekcję faktów. Zakładając jednak brak takiej subiektywnej — z punktu widzenia określonej ideologii — selekcji badanych faktów konstatujemy, że mogą one nabrać wymowy ideologicznej dopiero w otoczce komentarza naukowego. Nauka bowiem nie jest li tylko zbieractwem jednostkowych faktów, ale przede wszystkim systemem twierdzeń, powstałym na bazie materiału faktograficznego. Te uogólnienia natomiast, dokonywane przez uczonych, nigdy nie mogą oderwać się w pełni od wpływu określonej co do czasu i miejsca sytuacji w jakiej się rodzą. Twórcy ich przecież nie znajdują się poza zasięgiem konfliktów i sprzeczności społecznych epoki w której żyją. Jak to trafnie określił Z. Bauman: *świat uczonych jest składnikiem integralnym społeczeństwa i podlega wszystkim konfliktom i walkom, które nim wstrząsają. W twórczości uczonych i myślicieli znaleźć możemy wyraźne ślady walk toczących się z dala od akademickiego świata. Z drugiej strony idee poczęte w gabinetach uniwersytetów przenikają daleko poza uczelniane mury i uczestniczą w całkiem nie akademickich bojach. Nie możemy zrozumieć pracy uczonego uprawiającego refleksję społeczną jeśli przymknie się oczy na mocne więzy łączące ją z historią rodzimego społeczeństwa".*

Dzieje się tak nawet wbrew woli uczonego, który chce całkowicie oderwać się od konkretnej (jako nienaukowej) rzeczywistości zezując w kierunku ponętnych badań „czystej nauki społecznej" nie nasyconej ideologią. Marksizm obnażył złudzenia co do możliwości zbudowania wiedzy społecznej o powszechnej ponadklasowej mocy. Dał natomiast kryterium znalezienia takiej naukowej wiedzy w naukach społecznych, która na danym etapie historycznego rozwoju społeczeństwa, w konkretnym miejscu i na bazie konkretnego materiału faktycznego, zbliża się do obiektywnego poznania rzeczywistości. Wskaźnikiem tym jest powiązanie naukowych dociekań z działalnością praktyczną najbardziej aktualnie postępowej klasy społecznej, co w naszych warunkach odnosi się do klasy rewolucyjnego proletariatu.

Związek nauki z ideologią występuje na kilka płaszczyznach. Maria Hiroszowicz porządkuje je w trzech rodzajach zależności: genetycznych, strukturalnych i funkcjonalnych. Określone procesy badawcze w naukach społecznych mają swoje źródło w konkretnych mechanizmach społecznych kraju, w którym przebiegają. Jeżeli przyjmiemy, że te mechanizmy społeczne ukierunkowane są wolą klasy aktualnie panującej, przesądzi to o genetycznym związku nauki z ideologią. Bez względu na subiektywne intencje naukowców — założenia, treści, problemy, metody i kierunki badań przyporządkowywane bywają określonym perspektywom poznawczym klas będących u steru rządów, co determinuje z kolei strukturalny związek nauki z ideologią.

Najistotniejszy jest jednak funkcjonalny związek nauki z ideologią, nauki rozumianej jako czynnik uzasadniający, organizujący i porządkujący poczynania zbiorowe. W sumie przesądza to o niemożliwości istnienia neutralnych ideologicznie nauk społecznych i o poprawności stwierdzenia, że każda nauka społeczna jest w pewnym stopniu nauką ideologiczną. Wpływa na to także konieczność więzi teorii z praktyką jeśli nauka ma pełnić określoną rolę społeczną.

Z drugiej jednak strony przyjąć należy fakt, że słuszność marksistowskiego stanowiska w kwestii stosunku nauki do ideologii nie zamknie uczonym możliwości usiłowania pełnego wyzwolenia się w swych badaniach od wpływu ideologii. Korekta jednak myślowa o bezcelowości dociekań „nauki dla nauki" stawia problem na właściwym miejscu i przesądza o konieczności więzi nauki z konkretną rzeczywistością społeczną. Pięknie wyraził to A. Gramsci szukając społecznych źródeł izolacji nauki od ideologii: *„Lud odczuwa, ale nie zawsze „rozumie" albo „wie", element inteligencki „wie" ale nie zawsze (...) „odczuwa". Błąd polega na tym, że nie można w pełni wiedzieć nie odczuwając w pełni".*

Tak więc tendencje „oczyszczenia" nauk społecznych z „naleciałości" ideologii są nierealne i szkodliwe, bo zacierające perspektywy poznawcze nauki. Wynikają z braku zrozumienia potrzeb więzi między ludźmi nauki a społeczeństwem, są także ucieczką od właściwego materiału badań nauk społecznych w świat czystej spekulacji.

Skoro więc nadanie wyraźnego oblicza ideologicznego naukom społecznym budzi niekiedy sprzeciwy, zastanówmy się, co wnosi w tej mierze rodzenie się tzw. „nauk politycznych". Nauki te wprawdzie nie ukształtowały się u nas jeszcze w pełni, ale wiadomo już na pewno, że głównym punktem ich zainteresowań jest władza państwowa, widziana w różnych aspektach, i zagadnienia z nią związane. Przedmiotem tak rozumianych nauk politycznych są więc problemy sensu stricto ideologiczne. Z samej już ich nazwy wynika, że dopuszczają możliwość naukowego podejścia do problemów ideologicznych, ponieważ nazywają się „naukami politycznymi". Jedną z przesłanek leżących u podstaw ich powołania było przeświadczenie o wielkich korzyściach jakie może oddać naukowe podejście do zagadnień ideologicznych.

Doświadczenia historyczne uczą, że wiele poprzednich ideologii przesądzało raczej o hamowaniu ludzkiego poznania niż o jego postępie. Wiedząc jednak w świetle nauki Marksa, że ideologie klas postępowych, a taką jest proletariat, są granicą możliwości poznawczych społeczeństwa na danym etapie jego rozwoju, że zakres możliwości poznawczych proletariatu jest największy ze względu na jego szczególną rolę dziejową — można mówić o dużych możliwościach poznawczych naukowej ideologii. Przedmiotem badań nauk politycznych jest rzeczywistość społeczna, a więc wyniki ich badań mogą być weryfikowane na zasadzie kryterium „prawda — fałsz", przesądzającego o naukowości dociekań. Wyniki tych badań nie mogą się jednak odrywać od konkretnego materiału faktycznego, ale winny być jego uogólnieniem. Nie mogą poddawać się absolutyzacji i dogmatyzacji, a wykazywać dużą podatność na pogłębianie i weryfikowanie, co przesądzi o ich pomyślnym rozwoju.

Rodzenie się naukowej ideologii, rozumianej jako synonim nauk politycznych, wyjaśnia poniekąd dylemat: nauki społeczne ideologiczne czy naukowa ideologia. Nauki polityczne w miarę swojego rozwoju będą sukcesywnie przejmować z nauk społecznych do swoich rozważań te problemy, w których pierwiastek ideologiczny występuje najżywiej. Będzie to wprawdzie do pewnego stopnia oczyszczało nauki społeczne z problematyki ściśle ideologicznej, ale i zubożało je o tę problematykę. Nie przesądzi to także o braku potrzeby nadawania naukom społecznym zabarwienia zgodnego z panującą ideologią. Nakazuje to bowiem metoda materializmu historycznego wspólna wszystkim naukom społecznym. *„Postulat bowiem pełnego wyzwolenia nauk społecznych od ideologii jest utopijny* — jak to słusznie zaznacza Maria Hiroszowicz — *nie uwzględnia okoliczności, że inspiracja ideologiczna popycha naukę naprzód i stwarza jej nowe horyzonty poznawcze".*

Więcej: zdaje się zapoznawać fakt, że mowa o marksistowskich naukach społecznych, ideologicznie obojętnych, nie ma większego sensu. Podobnie nauki polityczne muszą utrzymać więź z naukami społecznymi głównie poprzez wspólną metodę jak i wspólne rozwiązywanie problematyki „styku" wielu nauk społecznych. Tak więc mowa zarówno o naukach społecznych o określonej wymowie ideologicznej jak i naukowej ideologii ma swój naukowo uzasadniony sens, a właściwe podejście do zagadnienia jest podstawą ich pomyślnego rozwoju.

**Roman Tokarczyk**

ściowo ogólny kierunek polityki państwowej pierwszych Piastów. Zwracał się on ku zachodowi, tam inwestowano wszystkie środki materialne i ludzkie państwa. Jeżeli idzie o stosunki z Rusią Kijowską, to przedstawiały się one w sposób bardzo skomplikowany.

Państwo to w IX i aż do pierwszej połowy X w. nie sięgało bynajmniej do Bugu, nie graniczyło bezpośrednio z państwem Wiślan czy Polan. Między nimi rozciągał się organizm polityczny ruskich Dulebów, obejmujący w zasadzie Wołyń i niektóre przylegające terytoria. Na zachodzie posiadłości ich przekraczały Bug i obejmowały m. in. ziemie położone między linią środkowego Wieprza a Bugiem, obszar zwany później Grodami Czerwieńskimi. Przynależność tego terytorium do władztwa Dulebów rysuje się w materiale archeologicznym już w pierwszym pięćsetleciu n.e., a widoczna jest jeszcze w wiekach VIII i IX. W tym ostatnim stuleciu następuje upadek Dulebów, z czego skorzystali Wiślanie, aby w pierwszej połowie X w. przyłączyć do swoich ziem terytorium Grodów Czerwieńskich. Na tym obszarze zbudowali oni wówczas szereg grodów, z potężnym Czerwieniem nad Huczwą na czele. Miały one na celu obronę przed ekspansją książąt kijowskich, którzy w tym samym czasie zagarnęli resztę władztwa Dulebów aż do Bugu.

W posiadaniu Wiślan znajdował się ten obszar, i jego grody, do 981 r. Zrozumiałe więc, że wtedy nie były im potrzebne własne silniejsze grody między Wisłą a Wieprzem. Nie zachodziła więc konieczność wznoszenia grodu w Lublinie. Kiedy w 981 r. książę kijowski Włodzimierz, dążąc najwidoczniej do opanowania spadku po Dulebach, zajął całe terytorium Grodów Czerwieńskich, wtedy również nie przystąpiono do umacniania granicy wzdłuż Wieprza, a wysiłek polityki polskiej szedł w kierunku odzyskania utraconego obszaru. Istotnie, powiodło się to za Bolesława Chrobrego. Po ponownej utracie tych ziem, jeszcze za Bolesława Śmiałego podejmowano próby aneksji, był to jednak, jak się zdaje, tylko incydent, skoro przez cały w. XI stosunki Polski ze wschodnim sąsiadem były nieprzerwanie przyjazne. Przez całe to stulecie nie widać więc ogólnej koniunktury politycznej na wschodzie, która sprzyjałaby myśli o poważnej inwestycji grodowo-miejskiej w Lublinie. Po wstrząsach lat trzydziestych skarb państwa nie posiadał na nią środków, ponadto zaś problematyka niemiecka i czeska zajmowały uwagę kół kierujących i narzucały inwestycje raczej od tej strony.

Dopiero w drugiej połowie XII w. zaszły w sytuacji politycznej kraju poważne zmiany. Polska znalazła się w warunkach rozbicia dzielnicowego, analogiczny proces dokonał się na Rusi. Lubelskie włączono w obręb dzielnicy krakowsko-sandomierskiej, której książęta zostali wnet uzależnieni od feudalnego możnowładztwa. Ono też narzuciło nowy kierunek polityczny, mianowicie wschodni, z zamiarem aneksji sąsiadującego od wschodu księstwa halicko-wołyńskiego. Nowa polityka wymagała pewnych decyzji i inwestycji o charakterze wojskowym i administracyjnym. Zaliczamy do nich stworzenie osobnej kasztelanii lubelskiej i lubelskiego archidiakonatu, dwóch jednostek zdolnych do samodzielnych działań politycznych.

Fakt powołania tych jednostek stanowi zarazem dowód na zbudowanie w Lublinie silnego grodu obronnego. Jest to pierwszy źródłowy dowód jego istnienia i chyba powstania. W obrębie grodu zbudowano też pierwszy kościół lubelski, pod wezwaniem św. Trójcy, który stanowił rezydencjonalną świątynię archidiakona. Istniejąca od około 150 lat osada targowa na Czwartku stała się dla grodu zaopatrzeniowym „zapleczem", zaczęła pełnić funkcje podgrodzia, chociaż jako osada otwarta nie przypominała zewnętrznie typowych podgrodzi. Została w związku z tym rozbudowana; przypuszczamy, że i położony w jej obrębie kościół św. Mikołaja wtedy właśnie został wzniesiony. Kasztelania lubelska i jej centralny grodowo-miejski ośrodek w Lublinie miały się odtąd stać ważnym elementem polityki wschodniej możnowładztwa małopolskiego. Rola wojskowa i polityczna miasta rozszerzyła się w ciągu XIII w. na dziedziny gospodarczą, zwłaszcza wielkiego handlu, i kultury. Zamknięciem tego procesu było nadanie miastu prawa miejskiego w 1317 r.

Pogląd o późniejszej metryce miejskiej Lublina i o wspomnianych etapach jego formowania się jako średniowiecznego ośrodka miejskiego nie przynosi bynajmniej rewelacji. Nie jest ani tradycyjny, ani nie jest „herezją". Poddaje tylko rewizji dawne wątpliwe „dowody" i w miejsce dowolnych hipotez stara się sformułować ostrożne wnioski, dla których podstawą są wyłącznie źródła. Odpowiada obecnemu stanowi badań i jedynie dalsze badania mogą go zmodyfikować czy zmienić.

**Kazimierz Myśliński**

„Kobieta" — rzeźba Grażyny Roman-Dobrowolskiej. Fot. J. Szukalski

**WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK**

## Kształty

*Kształt skrzypiec i talerza, kształt garnka i dzbana*
*Kształt drzewa, liści, kwiatów, stołu i komody*
*Jest dla mnie jak melodia oczami słyszana*
*I chwytam tajemnice kształtnej ich urody.*

*Nie dzieli mnie już od nich nieprzebyta ściana,*
*Wchodzę oczami w kształty, jak w tajne ogrody,*
*Otwiera się przede mną brama zakazana,*
*Co zaspokaja ziemskie i zaziemskie głody.*

*Bo ujrzenie na nowo wszystkich owych rzeczy*
*Jest odkryciem, co śmierci i starości przeczy,*
*A kiedy ich dotykam, to czuję pod dłonią*

*Odwieczną ich foremność, co chaos przemaga*
*I jest tak pełna ładu, jak kobieta naga,*
*Która utraconego raju tchnie harmonią.*

## Kamień

*Ten szary kamień, co przy drodze leży,*
*Jest słowem skamieniałym od cierpienia.*
*To ptak bezlotu i to ptak milczenia,*
*To wiara, która w siebie już nie wierzy.*

*I zagubiony wśród polnych bezbrzeży,*
*Gdzie czas i przestrzeń głucho go ocienia,*
*Smakuje ciszę swego bezistnienia,*
*Tak szerokiego, że nie zna rubieży.*

*Lecz oto przyszedł nieznany artysta,*
*Co i z niebytu wszelkiego korzysta*
*I rzeźbę wykuć w tym kamieniu zdołał.*

*I zawołała postać wyrzeźbiona,*
*Co z kamiennego zrodziła się łona:*
*„Czemuś z niebytu, podły, mnie przywołał?"*

**JERZY SZPUNAR**

## Magellan

**Od urodzenia**
**Noszę bulawę marszałkowską w plecaku**
**Ja —**
**Zdobywca Mount Everestu**
**Paganini muzyki konkretnej**
**Odkrywca Ameryki**
**Wynalazca atomowej śmierci**
**Poszukiwacz przygód na Dzikim Zachodzie**
**Don Juan, który nie lęka się Komandora**
**Pierwszy człowiek na Marsie**
**Już niedługo**
**Posąg człowieka na posągu świata**
**Grzmijcie fanfary**
**Gdzie moje ordery**

**Sierpniowe słońce**
**Przygrzewa moją chorą wątrobę**
**Na parkowej ławce w sennej ciszy marzenia**
**Wbrew szarej rzeczywistości**
**Jest pięknie**

**Każdy dopłynie na swoje Filipiny**

❀ ❀ ❀

**Gdy gaszę wiatr —**
**Gwiazdy**
**Spoglądają Twoimi oczyma —**

**Oto cały Wszechświat**
**Iskier Stworzenia.**

Dęblin

# Zapach siarki

**MIROSŁAW DERECKI**

W TARNOBRZEGU, pozornie, okres prosperity. Czterotysięczne rzeszowskie miasteczko położone na prawym brzegu Wisły i w centrum najbardziej zacofanych i przeludnionych terenów rolniczych, zostało nagle centrum zagłębia siarkowego na światową skalę, jednym z najważniejszych miast województwa. Stało się administracyjnym, mieszkaniowym, kulturalnym i rozrywkowym zapleczem oddalonego o dziesięć kilometrów ogromnego kombinatu siarkowego.

W ciągu ostatnich lat ludność miasta wzrosła trzykrotnie. Dziś w Tarnobrzegu mieszka już 12 tysięcy osób, wkrótce powinno ich być 25 tysięcy, a w latach osiemdziesiątych — 40 tysięcy. Wokół nieciekawego, parterowego, „galicyjskiego" centrum powstają nowoczesne dzielnice mieszkaniowe. Kino, ośrodek sportowy, poczta, dom towarowy, elegancka restauracja i kawiarnia — to wszystko naoczne aktywa uprzemysłowienia. Ale dla życia miasta najważniejszy stał się nagły zwrot struktury społecznej. Drobny mieszczuch stracił swoją dotychczasową pozycję. Napłynęła fala ludzi z dużych ośrodków miejskich, niebywale wzrósł procent inteligencji pracującej i wysoko kwalifikowanych robotników. Liczy się tylko ta masa, zajmująca nowoczesne mieszkania z nowoczesnymi lodówkami, telewizorami i meblościankami kupowanymi w nowoczesnych magazynach.

A równocześnie miasto nie posiada ani jednego hotelu, ani nawet perspektywy na zbudowanie go w najbliższych latach. Liczni przyjezdni gnieżdżą się w kilku prywatnych „domach noclegowych", czyli skromnych i zwykle przepełnionych mieszkaniach obywateli Tarnobrzegu.

• • •

Czternaście kilometrów stąd, po drugiej stronie Wisły, leży — również dwunastotysięczny—zabytkowy Sandomierz z całym swoim balastem kultury i tradycji, dźwigający się dzięki siarce z wielowiekowego upadku, tak jak dzięki siarce Tarnobrzeg właściwie dopiero powstaje. Sandomierz wchłania napływającą ludność. Osobowość Tarnobrzegu wyrażała się dotąd, co najwyżej w pomniku Bartosza Głowackiego stojącym na rynku przed dość obskurną knajpą. Potencjalna stolica polskiej siarki nie ma w sobie nic z dostojeństwa ani równowagi wzrostu swojego zabytkowego sąsiada — zdeklasowanej stolicy księstwa. W pewnym miejscu przebiega wyraźna granica między starym i nowym Tarnobrzegiem. Między dwiema grupami ludzi, którym trudno się do siebie i do zmienionych warunków życia przystosować.

Wieczorem uliczki starego Tarnobrzegu są puste tak samo jak ulice nowych osiedli. Puste jest także kino, choć idą w nim filmy zeroekranowe. Pustawo w eleganckim, z rozmachem zaprojektowanym domu kultury kombinatu, a jeszcze gorsza sytuacja w miejskiej świetlicy mieszczącej się, do czasu wyremontowania PDK, w starym murowanym baraku. Mieszkańcy Tarnobrzegu niechętnie opuszczają dom po powrocie z pracy. Jedni z wieloletniego przyzwyczajenia do takiego trybu życia, drudzy z racji zdobycia pierwszego w ich życiu własnego mieszkania. W obydwu wypadkach dzień upływa pomiędzy pracą, obiadem, telewizorem i kolacją. Tylko zakłady fryzjerskie, pralnie chemiczne, sklepy i wielkie magazyny handlowe — o nowoczesnych wnętrzach, przestronne, wielkomiejskie, doskonale zaopatrzone i wyposażone — potrafiły na serio wrosnąć pomiędzy stare kamieniczki rynku. I to chyba za ich właśnie pośrednictwem miasto zaczyna kształtować swój nowy charakter.

• • •

Tarnobrzeg został kreowany na stolicę polskiej siarki. Zdążył zachłysnąć się swoimi wielkomiejskimi perspektywami. Postawił pierwszy krok i oto... nagle zagraża mu utrata hegemonii wobec okolicznych miast, utrata przywilejów i pieniędzy. Po okresie pięknych perspektyw Tarnobrzegowi znowu grozi stagnacja. Nie przejściowa. Stała. Dopóki w odległości dziesięciu kilometrów będzie istniało zagłębie siarkowe... Po prostu okazało się, że Tarnobrzeg leży za blisko. I że wyziewy kombinatu siarkowego zatruwają atmosferę miasta. Tak przynajmniej twierdzi Wojewódzka Pracownia Planów Regionalnych w Rzeszowie. Tarnobrzeg stanął u progu kryzysu. Od dwu lat trwa papierkowa wojna na wszelkich możliwych szczeblach administracyjnych — między zwolennikami i przeciwnikami zdania Wojewódzkiej Pracowni Planów Regionalnych. Argumenty są różne. Od najbardziej rzeczowych do takich, że co prawda w deszczowe dni pachnie czasem w mieście siarkowodorem, ale można się przecież do tego zapachu przyzwyczaić. Nieprzeprowadzenie w odpowiednim czasie specjalnych badań atmosfery, po dziesięciu latach odbija się w bolesny sposób na samym Tarnobrzegu i na państwowej kieszeni.

• • •

W Tarnobrzegu — pozornie — okres prosperity. Ale w istocie miasto z niepokojem czeka na wyniki badań. Bo dopiero niedawno, wobec ponurych perspektyw, rozpoczęto badania. I na ten okres wstrzymano rozwój miasta.

W rezultacie narady dyskusyjnej, zorganizowanej w połowie 1965 roku przez Towarzystwo Urbanistów Polskich i Polskie Towarzystwo Higieniczne, został opracowany program badań zasięgu i stopnia ujemnego oddziaływania na otoczenie przez Kombinat Siarki w Machowie, ze szczególnym uwzględnieniem Tarnobrzegu. Przez Ministerstwo Zdrowia został powołany specjalny zespół badawczy. Jego praca powinna zakończyć się w grudniu 1967 roku, a w pierwszej połowie 1968 powinny się ostatecznie rozstrzygnąć losy Tarnobrzegu. Wobec tego Prezydium Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, rozpatrując projekt szczegółowego planu regionalnego Tarnobrzeskiego Zagłębia Siarkowego (do 1980 r.) i program inwestycji towarzyszących, przyjęło alternatywną koncepcję rozbudowy zaplecza „Siarki". I jeżeli badania okażą się niepomyślne dla Tarnobrzegu — punkt ciężkości zostanie przesunięty do Baranowa Sandomierskiego.

No dobrze — mówią najbardziej nawet obiektywni obserwatorzy. Ale co teraz począć z całym dwunastotysięcznym miastem? Co zrobić z ludźmi, którzy już się tutaj osiedlili? Czy mają być skazani na stałe wdychanie siarkowych wyziewów? Czy wobec ewentualnego powstania „dwumiasta": Tarnobrzeg-Baranów, jedna jego część ma być skazana na złe warunki zdrowotne i czy kombinat poczynił wszystkie kroki dla wybudowania urządzeń zabezpieczających okolicę przed zanieczyszczaniem? Kiedy zaś wysunięto koncepcję Baranowa Sandomierskiego, gdzie mają być lepsze warunki klimatyczne i zdrowotne, teza ta — podobnie jak kiedyś w wypadku Tarnobrzegu — nie została potwierdzona żadnymi badaniami.

Ustalenie liczby ludności obydwu miast będzie możliwe w 1968 roku. A kiedy przyjdzie do realizacji... W tym czasie rozwój kombinatu będzie jednak postępował normalnie i niełatwo przyjdzie potem wyrównać dysproporcje pomiędzy ośrodkiem przemysłowym a jego zapleczem.

• • •

Oczywiście, za dwa lata wszystko się wyklaruje i należy wierzyć, że dalszy rozwój — nie tylko przemysłowy — regionu popłynie właściwym torem, zaś w zależności od wyniku badań sprawa Tarnobrzegu okaże się jeszcze jedną mniej lub bardziej bolesną nauczką dla tych, którzy planowanie uprawiają tylko jako sztukę dla sztuki.

W każdym razie szkoda byłoby straconych złudzeń i zawieszonych w próżni przemian.

# O dojrzewaniu

TADEUSZ CHUDY

WYOBRAŹMY sobie taki list, w którym ktoś mówi, że od pewnego czasu próbuje pisać wiersze, już go nawet na tym wierszowaniu przyłapano, naokoło ludzie się śmieją, jakby robił coś złego, albo głupiego. A najgorsze jest to, że on sam nie wie, czy to jego pisanie jest coś warte, czy jest sens robić to dalej?

**Kiedy zaczynałem ten artykuł chciałem napisać: „wyobraźmy sobie taki list, w którym Ktoś Nieznnany..." i od razu zdałem sobie sprawę, że człowiek, który próbuje pisać wiersze nie jest mi wcale taki nieznany. Między innymi wiem o Nim, jak tęskni za tym, żeby Ktoś Kompetentny — pisarz, krytyk spojrzał na jego pierwsze utwory, doczytał je do końca i szczerze porozmawiał, doradził.**

**W jego wsi nikt dotąd nie zawracał sobie głowy pisaniem do rymu, ani szukaniem metafory. Dopiero on — pierwszy. Więc czuje się absolutnie sam w oczach tych stojących naokoło ludzi. Wygląda jakby z lekka nawiedzony. Wiłoczony w pytanie — zdawałoby się bez wyjścia — grafoman, czy talent?!? I drugie, ironiczne, zasłyszane przed chwilą: może chcesz zostać Mickiewiczem?**

**Ale można też zupełnie inaczej spojrzeć na tego młodego adepta pióra z tzw. głębokiej prowincji. Można np. zauważyć jego wrażliwość, spore oczytanie i to, że próbuje samodzielnie myśleć i że ma szlachetne bądź co bądź pisarskie aspiracje, a więc jest to chyba ktoś bardzo społecznie cenny?!**

*

Większość korespondentów i członków działającego przy Zarządzie Głównym ZMW Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, to mieszkańcy wsi i powiatu — przedstawiciele różnych zawodów — najczęściej nauczyciele mieszkający na wsi, rolnicy i uczniowie najrozmaitszych techników rolniczych, mechanicznych, pedagogicznych. Otrzymują oni drogą korespondencyjną recenzje swoich utworów; zapraszani są na konsultacje i seminaria warsztatowo-literackie organizowane przez KKMP (kilka z tych seminariów miało charakter ogólnokrajowy). Recenzentami nadsyłanych do Klubu utworów, konsultantami i prelegentami na tych seminariach byli: **Henryk Bereza, Jan Koprowski, Piotr Kuncewicz, Wilhelm Mach, Artur Międzyrzecki, Stanisław Piętak, Julian Przyboś, Arnold Słucki, Jan Śpiewak** i wielu innych znanych pisarzy.

Ta opieka i praca (Klub powstał siedem lat temu, w czerwcu 1959 r.) przyniosła już widoczne rezultaty.

**KKMP zrzesza w tej chwili 300 członków, a koresponduje z nim na temat swoich pierwszych prób literackich blisko 1000 osób z całego kraju. Prawie wszyscy członkowie Klubu debiutowali już na łamach prasy, lub w radio. 30 ma za sobą debiut książkowy. (Między innymi: Stanisław Neumert, młody rolnik z małej wioski Gulcz w woj. poznańskim, Jerzy Lesław Ordan, nauczyciel z Torunia, Andrzej Gerłowski, obecny przewodniczący KKMP). Sześciu zostało przyjętych do Związku Literatów Polskich. W 12 województwach powstały działające przy zarządach wojewódzkich ZMW ośrodki KKMP. Nie ma tylko takich ośrodków w Szczecinie, Gdańsku, Poznaniu, Olsztynie i Kielcach.**

**Niektóre z tych ośrodków, mianowicie: łódzki, rzeszowski i opolski podjęły bardzo ambitne starania o wydanie almanachów literackich młodym twórcom swoich regionów. Ośrodki wydają tzw. witryny poetycko-plastyczne, biuletyny, jednodniówki, drukują całe kolumny wierszy i opowiadań w prasie. Organizują konkursy, turnieje, stałe spotkania literackie. I tak mamy KONKURS O NAGRODĘ CZOŁENKA TKACKIEGO w Łodzi, TURNIEJ O PAWIE PIÓRO w Krakowie i SPOTKANIA OPINOGÓRSKIE zainicjowane przez ośrodek mazowiecki.**

**Z natury rzeczy członkowie KKMP najbardziej znają się na problemach literatury i czytelnictwa. Jeżdżą więc z prelekcjami na te tematy, organizują wieczory poezji i rozmowy o literaturze w klubach wiejskich, upowszechniają w ten sposób wiedzę o literaturze współczesnej.**

**Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy ma też swój udział w zrealizowaniu dwóch tak trwałych i ważnych inicjatyw kulturalnych jak: KONKURS NA DEBIUT PROZATORSKI ogłoszony przez ZG ZMW i Ludową Spółdzielnię Wydawniczą na powieść, lub tom opowiadań i powołanie NAGRODY LITERACKIEJ IM. STANISŁAWA PIĘTAKA przyznawanej co roku (autorom, którzy nie przekroczyli 35 lat) za wybitny tom poezji, tom prozy i utwór dramatyczny poświęcony szeroko pojętej problematyce wsi i młodzieży wiejskiej. Fundatorami nagrody są: Zarząd Główny ZMW, Zarząd Główny ZLP, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza i „Tygodnik Kulturalny". Pierwszymi laureatami tej nagrody byli: Ernest Bryll, Tadeusz Nowak i Jarosław Abramow. W roku bieżącym jedną z nagród w dziale prozy (w dziale tym przyznano dwie równorzędne nagrody) otrzymał członek KKMP Marian Pilot.**

*

Te liczby, nazwiska, akcje, inicjatywy ilustrują chyba stopień zaktywizowania się i jakby zmężnienia tych wszystkich nie znanych szerszemu ogółowi autorów jednego — dwóch — pięciu wierszy, czy opowiadań. Nie wszyscy oni zostaną pisarzami, to zrozumiałe. Ale inaczej się rezygnuje, kiedy człowiek dostaje coś w zamian; a z szeregów KKMP wyrosło już rzeczywiście sporo zupełnie sensownych działaczy kulturalnych; a komu los poskąpił temperamentu działacza, ten chyba też nie stracił czasu spędzonego w dyskusjach i pracach klubowych i w codziennym kontakcie z organizacją ZMW-owską. Zapewne w głębszym teraz, społecznym i politycznym wymiarze widzi sprawy naszego kraju i literatury — stał się chyba bardziej oświeconym człowiekiem.

## Rzeszowski ośrodek KKMP

LUDMIŁA PIETRUSZKOWA

### Krążenie atomów

*Na pewno byłam*
*w kropli wody*
*w liściu powietrzu skale*
*może byłam piaskiem pustyni*
*— palmą*
*może chwastem w łanie*
*mogłam być ichtiozaurem*
*— zieloną eugleną*
*żabą*
*Na pewno nie byłam napalmem*
*na pewno nie byłam*
*krematoryjnym piecem*
*— trującym gazem*
*urodziłam się bowiem*
*dość wcześnie człowiekiem*
*po prawicy*
*by nie wstąpić*
*do piekeł*

BRONISŁAW DRYJA

### wspomnienie

*patrzyłem*
*w czas*
*zamarły*
*między wskazówkami*
*zepsutego zegara*

*widziałem*
*nieruchome światło*
*na Wieży Przyszłości*

*byłem*
*robotnikiem*
*w fabryce tęsknoty*
*i magnesem*
*o jednym biegunie*

*podróżowałem*
*ze skradzionym biletem*
*do Dna Cierpienia*
*gdzie*
*zmierzchem*
*dymił komin wieczoru*

*wplątany*
*słuchem*
*w rytm przepływu*
*Twoich słów*
*zamieszkałem*
*w Domu Metafor*

*

*dzisiaj*
*wspominam*
*pomięte Twoje dłonie*
*które*
*uczyły mnie liter*

TADEUSZ KUBAS

### narodzenie

*nie z mojej woli*
*pękiem płodu*
*ładunkiem bólu*
*w świat wyparty*

*symfonią płaczu*
*piąstką buntu*
*stanąłem już*
*na życia starcie*

*wrzucano do mnie*
*jak do kosza*
*odpady uczuć*

*prosząc bym*
*duży*
*duży urósł*

EDWARD SZCZUR

### List

*Dla ciebie dom*
*drzewo zakończone równaniem*
*jedyny dom*
*wplecciony w echo*
*deski*
*Dla ciebie ogień*
*plafonu*
*przemienia wzlotem*
*sklepienia*
*I odchodzisz w kartki klonów*
*w nieskończoność*
*godzin*
*I odchodzisz niepewnie*
*w zapomnienie*

JÓZEF JANOWSKI

### Twarzą do morza

*Morze jest surowe i mądre*
*W wieży strażniczej obracanie*
*wiatrów*
*Niżej brzeg*

*Przychodzili do niego ludzie*
*po wielką ulgę*
*Potem nie byli przeklęci*

*Szumi mój mózg jak wielka*
*puszcza*
*albo jak jeszcze większe morze*
*Słyszałem w tę noc wołanie*
*wołanie z morza*

ZDZISŁAW TENETA

### Cmentarz wojenny w Komarniku

Czechosłowakom, poległym pod Dukłą poświęcam

*Ziemia*
*przygarbiona w rozpaczy*
*dzierży nad mogiłami*
*ostrokamienną bramę*

*Błękit*
*w łukowatościach wzniesień*
*spaja horyzont*

*Rozszumiały się*
*świerki i konwalie*
*rozdzwoniły się*
*polne dzwonki*
*w takt*
*osiemdziesięciu tysięcy*
*niespełnionych marzeń*

JAN SZELC

### Smak dochodzenia do kulminacji

*dygocę w polu Twej grawitacji*
*napięty cięciwą bioder do granic*
*obnażony z ciszy liść*
*w pajęczynie oddechów*

*nie mam odwagi spłoszyć cienia*
*z pochylonej nad nami ściany*
*z odległości białych ramion*
*spijam mgłę koronki zwiewną*
*pożarami oczu swoich*
*roztoczonych nad pustynią*
*wciąż na nowo odkrywanych oaz*

*do kulminacji napiętość żył wiodę*
*do eksplozji płomieni*
*nad zsuwającymi się bezszelestnie*
*żaluzjami powiek*

*w nich tylko dopalanie*
*stłałych w żarze drżenia*
*gałązek wyczekiwania.*

EMIL GRANAT

### Białe plamy

*Nie odnajdę spokoju*
*nadmiaru nie zaznam*
*bez buntu nie przetrwam*
*tych strof.*

*Odwrócę mapy*
*poznanych krain*
*i zstąpię*
*na białe plamy*
*niewyrażonych*
*słów.*

# Wakacje

BOLEŚNIE doświadczona stratą męża matka zaczęła się teraz obawiać o zdrowie jedynaka. Toteż wybrała się ze mną do Warszawy, aby mnie zbadał specjalista od chorób płucnych doktor Łogucki, ten sam, który przyjeżdżał do Otwocka na konsylium w związku z kuracją ojca. Po długim starannym zbadaniu mnie doktor stwierdził, że w płucach nie znajduje żadnych mankamentów, ale mimo to radzi, abym profilaktycznie spędził wakacje w Zakopanem.

Mama uchwyciła się tej myśli. Czyniła sobie wyrzuty, że nie udało się jej przekonać ojca, aby zamiast do Otwocka wyjechał do Zakopanego, gdzie, jak wszyscy twierdzili, powietrze miało własności cudotwórcze i niejednego już zdawałoby się nieuleczalnego gruźlika postawiło na nogi. Tym bardziej więc teraz postanowiła ten wyjazd doprowadzić do skutku. Nasze położenie finansowe po śmierci ojca nie przedstawiało się zbyt różowo. Mieliśmy trochę gotówki i procentów z niej, trochę biżuterii, przed przeprowadzką sprzedało się niektóre rzeczy — na skromne życie wystarczało. Wyjazd „za granicę" był więc w granicach naszych możliwości, ale wymagał wyrzeczeń i oszczędnego gospodarowania pieniędzmi.

Zaczęły się przygotowania do podróży. Paszport zagraniczny trzeba było uzyskać w lubelskim urzędzie gubernialnym. Otrzymaliśmy go zresztą dość szybko i bez trudności. Dziwnie pomyśleć: mieliśmy się poruszać po terenie Polski, a w roku 1913 wyjazd z Chełma do Zakopanego był podróżą za granicę — z Rosji do Austrii. Już nie pamiętam, kto polecił nam „Osobitę" — zakopiański pensjonat prowadzony przez p. Świderską. Mama przeprowadziła odpowiednią korespondencję i określiła czas naszego przyjazdu.

W końcu czerwca udaliśmy się w podróż. Pociąg zatrzymał się na końcowej stacji rosyjskich kolei żelaznych. Granica. Przegląd paszportów, najpierw przez żandarmów rosyjskich, a później austriackich, rewizja celna i już przesiedliśmy się do innego pociągu, na którym widniały napisy w języku niemieckim, węgierskim i polskim. Szczakowa, — na gmachu stacyjnym olbrzymie polskie litery. Kolejarze w kepi na głowach mówią po polsku, tak samo żandarmi i policja. Tylko Żydzi, inaczej niż u nas ubrani, bo w jarmułkach, chałatach jakiegoś innego kroju z szerokim pasem i w krótkich spodniach z pończochami rozmawiają po żydowsku. Przyjechaliśmy z Polski i jesteśmy w Polsce, a jednak tu odmiennie. Krajobraz podobny, ale budynki kryte czerwoną dachówką, bardziej schludne i jakby weselsze. No i nigdzie nie uświadczy się napisów rosyjskich, nie usłyszy się tego języka.

Kraków. Stajemy w hotelu Pod Różą i przede wszystkim udajemy się do sklepów odzieżowych po odpowiedni dla mnie cywilny garnitur. W jakimś sklepie — a ile ich tu i jak brodaci kupcy uprzejmie zapraszają, aby ich odwiedzić! — nabywamy brązowe sportowe ubranie, pelerynę, serdak i kapelusz, a w innym — plecak, buty podkute, wełniane pończochy i drewnianą ciupagę. Upierałem się przy tym turystycznym komplecie, choć mama nie bardzo się godziła na niektóre z tych zakupów, dowodząc, że przecież lekarze z pewnością zabronią mi wycieczek. „Ale spacery, spacery" — tłumaczyłem. — „Na dłuższy spacer też się plecak przyda. A buty muszą być podkute, tam przecież wszędzie pod nogami kamienie". W tym pierwszym w moim życiu garniturze sportowym, w pełnym rynsztunku turystycznym uwieczniłem się na fotografii sam i z matką.

**W Krakowie spędziliśmy dwa dni zwiedzając najważniejsze zabytki. Kościół Mariacki, Sukiennice, płyta Kościuszki na Rynku, a przede wszystkim katedra na Wawelu i groby królewskie wraz z kryptą Mickiewicza — ach, cóż to były za przeżycia dla ucznia gimnazjum rosyjskiego, który historię Polski znał dobrze, ale z prywatnych lekcji, bo nie uczył się jej w szkole, gdzie w podręczniku Jełpatiewskiego natykał się na rozdział „Usmirienije polskogo miatieża". Ale zamek wawelski, odrestaurowany właśnie po zniszczeniu, jakiego dokonało przystosowanie go do roli koszar austriackich, miałem poznać w całym jego pięknie dopiero po kilku latach. Wieczorem poszliśmy do teatru im. Słowackiego. Z zachwytem patrzyłem najpierw na kurtynę Siemiradzkiego, a później urzekła mnie „Trawiata". Po raz pierwszy w życiu byłem na operze. Podobały mi się niektóre arie, wzruszyła umierająca Violetta.**

Wreszcie w drogę do Zakopanego. Po prawie ośmiogodzinnej podróży, w czasie której wciąż wyglądałem gór, a z powodu deszczu widziałem jedynie przymglone wzgórza, dotarliśmy już prawie pod wieczór na miejsce.

Brr, jak na lipiec wcale chłodno. I deszczyk prószy. Przyda się teraz peleryna. Ale co za powietrze! Ostre i mocne, aż się kręci w głowie. Góral pomaga wynieść walizki i za chwilę siedzimy już w powoziku. Poznaję ten serdak woźnicy odwrócony sierścią do góry, białe, wąskie, ozdobnie wyszywane spodnie i kapelusz z muszelkami. Poznaję, bo widziałem ten strój w książkach i na pocztówkach.

Powozik jedzie ulicą, która, jak nas informuje góral, nazywa się Marszałkowska (proszę, proszę, jak w Warszawie!), mija wielki gmach z napisem Stamary, przejeżdża przez most nad rwącym potokiem — Bystrą, skręca na prawo — to ulica Sienkiewicza, aby zatrzymać się przed drewnianą willą w stylu zakopiańskim na rogu Nowotarskiej. Wysiadamy przed „Osobitą".

Mamy pokój z werandą i widokiem na góry, na razie spowite mgłą. Zimno, jakby to nie było lato. Ale ładnie. Mebelki w stylu zakopiańskim, na ścianach namalowane jakieś ornamenty góralskie.

Nazajutrz budzi nas prześliczny słoneczny poranek. Wybiegam na werandę — i zdumienie, i zachwyt. Oto one — Tatry, które wypatrywałem z góry Chełmowej w Ojcowie. Postrzępiony wał olbrzymów skalnych, z których poznaję tylko jeden widziany na pocztówkach — Giewont piętrzący się i górujący ponad wszystkimi, choć jak się później dowiedziałem, jeden z niższych w rozległej panoramie.

**W pensjonacie przy posiłkach table d'hôte. A więc trzeba się zapoznać z gośćmi tego domu. Pani Świderska, dystyngowana starsza pani, dokonuje prezentacji. Trochę ówczesnej i przyszłej elity umysłowej. Profesor historii filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego — Heinrich, który zwraca moją uwagę nie znanym u nas w Królestwie i śmieszącym mnie wtedy zwrotem grzecznościowym w pytaniu: „co proszę?". Pani Anna Elzenbergowa z Krakowa z synem Henrykiem, znanym dziś profesorem, filozofem i moralistą (wątpię, czy będzie czytał te słowa, a jeśli tak, czy przypomni sobie piętnastoletniego chłopca z matką w żałobie, z którymi siedział przy wspólnym stole), dwóch studentów wciąż uganiających się po Tatrach, których pani Świderska nazywała „chłopysiami", córka gospodyni — panna Adela, również studentka, jakaś sympatyczna przystojna pani, z którą później odbywaliśmy razem spacery po dolinach, a której nazwiska nie pamiętam — i to chyba wszyscy. Rozmowa przy stole dotyczy głównie pogody, wrażeń wycieczkowych, wypadków w górach; po raz pierwszy usłyszałem o Tatrzańskim Pogotowiu Ratunkowym i jego twórcy Mariuszu Zaruskim, o bohaterskiej śmierci przewodnika Klimka Bachledy, który przed trzema laty zginął w górach śpiesząc na ratunek Szulakiewicza, o zeszłorocznej śmierci koleżanki panny Adeli — Aldony Szystowskiej, która spadła z tak niewinnie wyglądających z Zakopanego Czerwonych Wierchów. Mówi się też o literaturze i folklorze, czasem o polityce. Czuję, że jestem trochę egzaminowany. Ale gimnazista chełmski orientuje się jednak w książkach, choć wykazuje zasadnicze braki, jeśli chodzi o lekturę tatrzańską. Nie znam „Na przełęczy" Witkiewicza ani „Na skalnym Podhalu" Tetmajera. A zdawałoby się taki oczytany w książkach podróżniczych i przygodowych, pierwszy raz dowiaduje się o Karolu May'u. Postanawiam sobie te luki w dni deszczowe uzupełnić.**

Nazajutrz zaopatruję się w przewodnik po Tatrach M. Świerza. Po południu jadę z matką do sanatorium dr Dłuskiego, aby się poddać badaniu. Przyjmuje mnie dr Stefan Rudzki, asystent dyrektora zakładu. Sympatyczny, poważny, z bródką przypomina mi trochę ojca. Opukuje i osłuchuje mnie bardzo długo. Podobnie jak dr Łogucki w Warszawie, stwierdza, że płuca mam zdrowe, ale zważywszy przyczynę śmierci ojca, dobrze jednak, że spędzę pięć tygodni w Zakopanem. Zabronił mi chodzenia po górach i w ogóle forsownych wycieczek, a widząc, że mina mi zrzedła, pocieszył: „Po szczytach, kawalerze, po szczytach, nie wolno, ale przecież jest tyle pięknych dolin, które można zwiedzić bez większego zmęczenia. Przejadą się państwo do Morskiego Oka, no — można pójść i na Halę Gąsienicową. Kawaler musi się dobrze odżywiać, do czego zresztą na tym powietrzu nie trzeba namawiać.

# Rozwój badań naukowych na Białostocczyźnie

ZYGMUNT KOSZTYŁA

ZNACZNE ożywienie badań nad dziejami Białostocczyzny nastąpiło z chwilą utworzenia Wojewódzkiego Archiwum Państwowego, Muzeum Okręgowego, działów naukowych bibliotek oraz oddziałów ogólnopolskich towarzystw naukowych typu humanistycznego, a przede wszystkim — oddziału białostockiego Polskiego Towarzystwa Historycznego (1951 r.). Dalszy rozwój sieci archiwalnej (archiwa powiatowe w Łomży, Suwałkach i Ełku, archiwum przy Komitecie Wojewódzkim PZPR) oraz muzealnej (muzea regionalne w Łomży i Suwałkach, Muzeum Ruchu Rewolucyjnego) wpłynął na wszechstronne gromadzenie zbiorów historycznych i społecznych.

**Ważnym momentem organizacji badań historycznych było utworzenie w 1962 r. Białostockiego Towarzystwa Naukowego. Za pośrednictwem BTN rozszerzyła się współpraca z ośrodkami naukowymi w kraju i za granicą. Duży sukces w tym zakresie mają do odnotowania nasi archeolodzy, utrzymujący ożywione kontakty z zagranicą (ZSRR, Szwecją, Finlandią, Czechosłowacją, Niemcami, Francją i Jugosławią).**

Białostockie Towarzystwo Naukowe ma ambicję utworzenia trwałego warsztatu naukowego; m. in. dąży się do zorganizowania wyspecjalizowanej biblioteki naukowej, tak potrzebnej dla naszego środowiska.

Program badań regionalnych, zmierzający do możliwie wszechstronnego ujęcia procesów dziejowych ziem województwa białostockiego, sprecyzowany został na I Konferencji Nauk Historycznych, która odbyła się w 1961 r. w Białymstoku, oraz na sesji poświęconej XX-leciu Białostocczyzny w 1964 r. Aktualny stan badań wskazuje na niewątpliwe osiągnięcia w realizacji nakreślonego programu. Większość prac, oparta w dużej mierze na nowych, nie wykorzystanych dotąd źródłach, przyczynia się do ustalenia szeregu mało lub wcale nie znanych przedtem faktów i zjawisk, istotnych również dla całości dziejów Polski. Mimo niewątpliwych osiągnięć problem intensyfikacji badań jest nadal aktualny. Obserwuje się jeszcze brak powiązania indywidualnego wysiłku poszczególnych badaczy oraz znaczne trudności w należytym rozwoju wyspecjalizowanego warsztatu naukowego. Występujące niedomagania spowodowane są również brakiem odpowiedniego ośrodka w postaci szkoły wyższej o profilu humanistycznym. W tych warunkach bardzo cenne są inicjatywy podejmowane przez Białostockie Towarzystwo Naukowe, a w szczególności przez Kompleksową Ekspedycję Jaćwieska, Komisję Historii Nowożytnej i Najnowszej oraz Komisję Historii Wojskowej, która pod kierownictwem prof. dr Stanisława Herbsta rozwija bardzo żywą i wszechstronną działalność. Ostatnie decyzje władz miejscowych, dotyczące powołania w Białymstoku Muzeum Wojskowo-Historycznego, wyznaczają pracy badawczej, jak również jej upowszechnianiu, bardzo korzystne warunki. Stanowią także namacalny dowód troski o rozwój placówek kulturalnych i wszechstronność badań regionalnych.

**Intensywna praca naukowa środowiska znajduje swoje odbicie w ponad 200 publikacjach uwzględniających wszystkie niemal dziedziny historii: gospodarczo-społecznej, politycznej, wojskowej oraz kulturalnej. Na wysokim poziomie edytorskim stoją periodyki Muzeum Okręgowego, Białostockiego Towarzystwa Naukowego oraz Rocznik Białostocki (opublikowano już sześć tomów). BTN wydaje m. in. organ międzynarodowy „Acta Baltico — Slavica", „Materiały do dziejów ziemi sejneńskiej", „Studia i materiały do dziejów Suwalszczyzny". Ten bogaty, jak na nasze dotychczasowe warunki, dorobek wydawniczy, propagujący osiągnięcia naukowe środowiska białostockiego w kraju i za granicą, był możliwy jedynie dzięki staraniom kierownictwa Białostockiego Towarzystwa Naukowego, zrozumieniu i opiece władz miejscowych oraz pracy całego zespołu ludzi, spośród których należy wymienić dr Jerzego Antoniewicza — sekretarza generalnego BTN, oraz pełnomocnika do spraw wydawniczych.**

Z okazji różnych sesji, konferencji historycznych oraz rocznic wydrukowano również szereg pozycji, których wydawcą był najczęściej Wydział Propagandy Komitetu Wojewódzkiego PZPR, Wojewódzki Komitet Frontu Jedności Narodu, Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej oraz Zarząd Okręgu ZBoWiD.

Obchody Tysiąclecia Państwa Polskiego przyczyniły się nie tylko do intensyfikacji badań nad historią regionu, lecz również do jej upowszechnienia. Zwiększono liczbę odczytów i posiedzeń naukowych oddziału PTN, poszczególnych komisji BTN, oddziału Polskiego Towarzystwa Historii Medycyny, Komisji Historycznej ZBoWiD i związków zawodowych, jak również placówek muzealnych i archiwalnych. Realizując program millenijny łączono wysiłki poszczególnych towarzystw, komisji i instytucji w organizowaniu sesji popularnonaukowych oraz wystaw poświęconych poszczególnym okresom czy wydarzeniom historycznym. Należy przy tej okazji wspomnieć o sesji poświęconej działaniom partyzantki radzieckiej i wyzwoleniu Białostocczyzny.

Tak więc mimo obiektywnych trudności wynikających z braku wyższej uczelni humanistycznej czy instytutu naukowego, środowisko białostockie rozwija skutecznie działalność naukową i popularyzacyjną w zakresie historii naszego regionu.

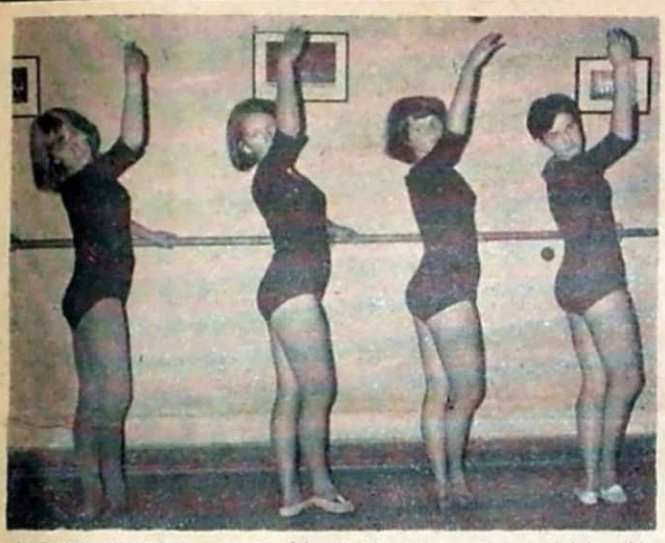

Białystok. W Państwowym Ognisku Baletowym — Fot. A. Polakowski

# PLASTYKA Obraz jako inicjacja

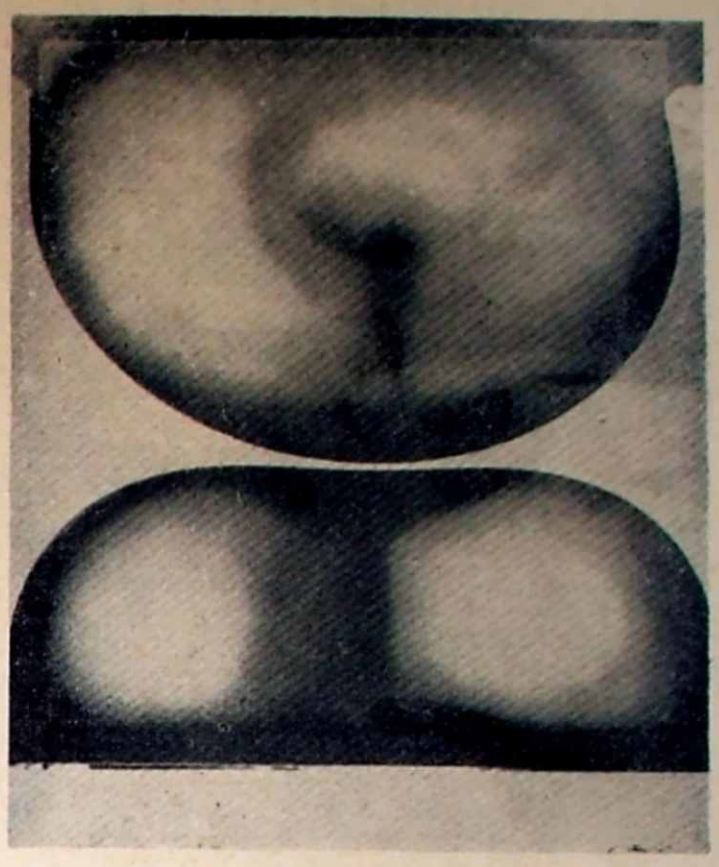

ANDRZEJ Pawłowski — laureat nagrody I stopnia Ministerstwa Kultury i Sztuki w r. 1963 za całokształt działalności artystycznej — reprezentuje rzadko dziś spotykany typ artysty wszechstronnego. W r. 1957 w krakowskim teatrzyku „Cricot 2" pokazał po raz pierwszy „Kineformy", czyli formy wyświetlane na ekranie; do dziś pamiętam rozgłos, jaki towarzyszył temu wydarzeniu. Naturalną niejako koleją rzeczy Pawłowski zrealizował następnie dwa filmy abstrakcyjne — „Kineformy" i „Tu i tam". Poza tym zajmuje się architekturą wnętrz, estetyką form przemysłowych, działa na polu malarstwa, grafiki i rzeźby.

Na uwagę zasługuje także jego stosunek do sztuki, do twórczości, pojmowanej jako akt dynamiczny. Podobnie jak Mieczysław Porębski i inni teoretycy sztuki widzi on potrzebę rewizji dotychczasowych metod krytyki artystycznej, jej bezradność w stosunku do nowych zjawisk i prądów twórczych: „Wydaje się, że teoria sztuki i krytyka stanęły przed taką barierą tradycyjnych pojęć, systemów i klasyfikacji, które nie pozwolą na dalsze ich rozwijanie, do momentu kiedy podstawowe obowiązujące obecnie określenia nie zostaną zmienione, rozszerzone i bardziej uogólnione. Odnosi się to głównie do pojęcia i definicji: „dzieło sztuki" i „proces twórczy".

Ostatnie zdanie zawiera problem będący od wielu lat w centrum zainteresowania estetyki. Co to jest dzieło sztuki? Baker Brownell zaliczył do „Siedmiu żywych sztuk" umiejętność gotowania, a John Dewey dostrzegał bliskie pokrewieństwo rzeźby i fryzjerstwa. Zapoczątkowana u schyłku ubiegłego wieku rewolucja artystyczna zdeprecjonowała dotychczasowe określenia i pojęcia obrazu czy rzeźby, podważyła usankcjonowane tradycją funkcje. I wbrew pozorom trwa nadal, poszerza rzeczywistość sztuki. Komplikuje jednocześnie zagadnienia teorii i krytyki. Relatywizm kryteriów i ocen wzbudza więc tęsknoty do wypracowania norm obiektywnych. Nie tylko na terenie plastyki ale i w literaturze, muzyce.

Pawłowski sugeruje, że „Teoria i krytyka sztuki są naukami i jako takie muszą posługiwać się racjonalnymi metodami i obiektywnymi kryteriami. Dotychczasowych metod intuicyjnych, przy-

(Dokończenie na str. 11)

# „za granicą"

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

i codziennie do południa dwie godziny i po obiedzie też dwie werandować. Bez względu na pogodę — w razie zimna pod pledem i w serdaku. Oczywiście czasami, w razie urządzenia którejś ze wspomnianych wycieczek, od tej zasady można będzie odstąpić. I ważyć się, a przed wyjazdem proszę się zgłosić jeszcze raz na ponowne badania". Pożegnaliśmy miłego lekarza, który w parę lat później miał zginąć w Legionach.

Wracałem zadowolony, bo ostatecznie gór mi całkiem nie zabroniono, będę je mógł trochę poznać. Ale to wylegiwanie się na leżaku nie bardzo mi się uśmiechało. W czasie deszczu nie będzie to uciążliwe, bo od czegoż książki, ale w razie pogody...

Widocznie w złą godzinę pomyślałem o tych deszczach, bo mieliśmy ich w tym roku nadmiar. Stali bywalcy Zakopanego uskarżali się na wyjątkowo mokre lato. Zapisałem się więc do czytelni w księgarni Zwolińskiego i wypożyczałem książki. Przeczytałem „Na przełęczy" i marzyłem o wycieczce na Mięguszowiecką pod Chłopkiem. Wgryzłem się w gwarę opowiadań „Na skalnym Podhalu". Poznałem „Jaskółkę" Daniłowskiego i „Na srebrnym globie" Żuławskiego, co było tym bardziej na czasie, że w podwieczorkowych godzinach mogłem widzieć, jak autorzy tych powieści grają w szachy, słuchając muzyki na werandzie u Dzikiewicza. Dorwałem się i do Karola May'a — do tych jego powieści, których akcja rozgrywa się na Bliskim Wschodzie. Były interesujące, ale drażniła mnie chełpliwość pisarza, który wszędzie występował jako niepokonany bohater, bo opowiadał o swych czynach w pierwszej osobie. Ale najchętniej wertowałem przewodnik, na razie teoretycznie poznając się z Tatrami, przyswajając sobie nazwy i wysokości szczytów i głównie chłonąc opisy dróg wiodących w doliny i ku stawom. A w Muzeum Tatrzańskim im. Chałubińskiego, które znajdowało się wtedy w drewnianym budynku przy skrzyżowaniu ul. Zamoyskiego i Chałubińskiego w pobliżu pomnika doktora i Sabały, szczególnie zainteresowały mnie dwie mapy plastyczne Tatr.

**Było jednak trochę dni pogodnych. Z sympatyczną panią z naszego pensjonatu chodziliśmy po dolinach. Więc Strążyska aż do wodospadu, za Bramkę, zajrzeliśmy do Jaworzynki i doliny ku Dziurze, gdzie grota (po ojcowskich) sprawiła mi zawód, byliśmy i na dwóch — powiedzmy szumnie „szczytach" — na Gubałówce, skąd dopiero unaocznileni sobie rozległość Tatr, i na przepaścistym Nosalu. Pojechaliśmy do Kościeliskiej, obijaliśmy się po głazach Krakowa, zawędrowaliśmy do Stawu Smreczyńskiego. Kiedy nazajutrz przy obiedzie wyrażałem zachwyt nad tym jeziorkiem, dwaj studenci — „chłopysie" z żywością zwrócili się do mnie: „Byli państwo przy Smreczyńskich Stawach?" — „Tam był tylko jeden staw". Nieporozumienie się wyjaśniło — chodziło tylko o jedną literę. Położony w lesie Smereczyński Staw w Dolinie Kościeliskiej oczywiście nie miał nic wspólnego z dwoma malowniczo w sercu gór położonymi Stawami Smreczyńskimi (albo Ciemnosmreczyńskimi), w których, jak widać było (a po kilku latach sam zrozumiałem to dobrze), obaj młodzieńcy byli zakochani.**

Ale największe wrażenie uczyniły na mnie wyprawy do stawów: całodzienne wycieczki do Morskiego Oka i Czarnego Stawu Gąsienicowego. Do Morskiego wytrzęśliśmy się furką. Oniemiałem na widok Wodogrzmotów Mickiewicza. Później to jezioro zewsząd ściśnięte urwiskami szczytów. A Mnich naprawdę przypominał kamiennego zakonnika. Przeszliśmy się i do położonego wyżej Czarnego Stawu pod Rysami. Było zimno i ponuro, bo niebo powlokło się chmurami i deszczyk zaczął siąpić, ale zanim mgły osnuły góry, zdążyliśmy jeszcze w pełni odczuć przygnębiającą pustkę i dzikość otoczenia pozbawionego zieleni. Ale piesza wycieczka na Halę Gąsienicową a stamtąd do Czarnego Stawu była jeszcze ciekawszą i przyjemniejszą. Przede wszystkim dlatego, że piesza. Potem urozmaicona: w jedną stronę przez Boczań, a z powrotem przez Jaworzynkę. Wreszcie wspaniała pogoda. Znane mi już z Gubałówki szczyty Hali Gąsienicowej tak się zbliżyły, tak zogromniały. Po raz pierwszy z zachwytem nie do opisania i z jakimś nabożeństwem chłonąłem oczyma chłopca tę panoramę poszarpanych wierchów, którą miałem oglądać ponad setkę razy w życiu jako młodzieniec, człowiek dojrzały, i wreszcie dźwigający siódmy krzyżyk — zawsze z jednakowym wzruszeniem. To miernik mojego wieku — myślałem nieraz: jeśli kiedyś stanę przed tym potężnym wałem obojętny, jeśli nie poczuję tego jakiegoś skurczu w gardle, który mi towarzyszy przy każdym tutaj powrocie — to będzie oznaką prawdziwej starości. I za każdym razem opuszczając Halę wciąż oglądałem się za siebie nie mogąc się oderwać do tego widoku, co mi nigdy nie mógł spowszednieć, i z lękiem myśląc: może to już raz ostatni... Gdy piszę te słowa, nie widziałem już tego obrazu od pięciu lat: wystarczy zamknąć oczy i staje mi on przed nimi wyraźnie i plastycznie jak na jawie i budzi natarczywą chęć ujrzenia go znowu, budzi tęsknotę i nadzieję, że jednak to jeszcze nastąpi.

Przed wyjazdem poddałem się jeszcze raz badaniu. Dr Rudzki był zadowolony, że mi trochę przybyło na wadze i ponownie stwierdził, że płuca mam w zupełnym porządku. Korzystając z bliskości Kościeliskiej pojechaliśmy jeszcze pożegnać się z tą najpiękniejszą ze znanych mi wówczas dolin.

Ale wracaliśmy do Chełma zupełnie inną drogą. Skorośmy już byli „za granicą", należało poznać bliskich krewnych. Umówiliśmy się listownie z ciotką (dla mnie właściwie babką) Sabiną Jaworską, siostrą zmarłego w kwietniu dziadka Wincentego, że jadąc z Zakopanego odwiedzimy ją we Lwowie. Miałem więc poznać jeszcze jedno „zagraniczne" miasto i to większe od Krakowa — ba, stolicę Galicji.

**Ciotka Sabina, bo tak ją jednak nazywałem, okazała się miłą, starszą panią, która przyjęła nas bardzo serdecznie. Nie dziwnego zresztą: ojciec mój był jej bratankiem. Mieszkała przy ul. Piekarskiej z siostrą — ciotką Heleną, starszą o kilkanaście lat od niej, zniedołężniałą staruszką. Ale najbardziej mnie zaciekawiła osoba obca — ich sublokatorka, kobieta żywa i energiczna, z krótko obciętymi szpakowatymi włosami i nieodstępnym papierosem w ustach. Typ emancypantki — jak wówczas mówiono. Była to znana malarka, przyjaciółka zmarłej przed trzema laty Konopnickiej — Maria Dulębianka. I właśnie ona była naszą przewodniczką po Lwowie. Oprowadzała nas po kościołach, parku Kilińskiego, Wysokim Zamku i cmentarzu. Osobliwością wydał mi się pasaż Mihulascha: nie wiedziałem, że może istnieć taka ulica ze sklepami pod oszklonym dachem.**

Największym jednak dla mnie przeżyciem była wystawa urządzona z okazji 50-lecia powstania styczniowego. Była to poglądowa lekcja historii, tej historii zakazanej pod zaborem rosyjskim, a znanej mi z opowiadań ojca, z rozdziałów trzymanej w ukryciu książki Limanowskiego „Stuletnia walka narodu polskiego o niepodległość" i z niedawno czytanej „Wiernej rzeki" i „Dziecięcia Starego Miasta". Broń powstańców, ich umundurowanie, liczne fotografie i pamiętniki, odezwy Rządu Narodowego, ówczesna prasa, i wiele, wiele innych eksponatów wiszących na ścianach lub umieszczonych w gablotkach unaoczniało mi bohaterstwo ludzi, co w nierównej walce oddawali swe życie za wolność, której nie sądzone im było zdobyć. Po Wawelu był to dla mnie drugi potężny ładunek patriotyzmu, z którym miałem wracać do siedziby Eulogiusza, „Chełmskiej Rusi" i wkrótce już gubernialnego miasta.

Po paru dniach żegnaliśmy gościnne ciotki i sympatyczną panią Marię. Ciotka Sabina, która nauczycielskim zwyczajem wciąż mnie monitowała, że źle się trzymam i garbię, jeszcze raz mnie przestrzegała: „Pamiętaj, żeś Polak, a więc pierś naprzód, i głowa do góry!" Miałem się z nią i panią Dulębianką spotkać raz jeszcze po pięciu latach. Ciotki Heleny nie zobaczyłem już nigdy więcej. A w pokoju moim dziś jeszcze wisi portret ojca, namalowany z fotografii przez przyjaciółkę Konopnickiej.

Dojechaliśmy do Rawy Ruskiej. Przekroczywszy granicę i poddawszy się „ceremoniałowi powitalnemu" żandarmów i celników rosyjskich, dalszą drogę przez Tomaszów do Chełma odbyliśmy dorożką. Linię kolejową przecinającą Lubelszczyznę z południa na północ od Bełżca do Rejowca mieli dopiero przeprowadzić Austriacy podczas wojny.

(Z „Wywoływania duchów")

# Prawda i ograniczenie artynarracji

(Ciąg dalszy ze str. 1)

ci, sprawiedliwości i godności ludzkiej opadły w tej wojnie z człowieka jak przegniły łach", to nie tylko rozliczał zbankrutowane w faszystowskiej zawierusze resztki złudzeń mieszczańskiego humanizmu, ale również — pośrednio — sankcjonował uprawiany przez siebie model oszczędnej, behawiorystycznej prozy z określoną — w pewnym sensie samoskarżycielska — postawą narratora. To pozwoliło sugestywnie ukazać tragiczne — wcale nie czarno-białe — perspektywy dialektyki kata i ofiary. Trochę inny, bardziej reportażowy typ owej prozy realizowała, niemal równocześnie, Nałkowska w „Medalionach", odsłaniając potworną prawdę ostatniej wojny: że człowiek zanegował swój rudymentarny instynkt — poczucie solidarności gatunkowej. Jakże tu daleko od „ludzkiego przyznania" Tomasza Manna z „Czarodziejskiej góry" — iż „trzeba więcej odwagi, by strzelać do drugiego, aniżeli by pozwolić strzelać do siebie".

Pojawiły się u nas po 1945 roku także autentyczne próby wykorzystania środków wielkiej epiki realistycznej (mającej przecież bogate polskie zaplecze) — np. cykl K. Brandysa „Między wojnami" „Pamiątka z Celulozy" Newerlego — co zresztą posiadało głębsze, obiektywne przyczyny. Obok tego jednak, wskutek błędów polityki kulturalnej z lat 49—55, powstało sporo drugorzędnych, schematycznych płodów, które — w ostatecznym historyczno-literackim rozrachunku — dotkliwie obnażały wszelkie ograniczenia, uproszczenia i anachronizmy konwencji powieściowej tradycyjnego realizmu oraz jej mechanicznych naśladownictw.

Szukanie nowych rozwiązań strukturalnych w zakresie prozy, z których pobieżnie omówimy jeden typ (na przykładzie kilku młodych pisarzy polskich), będący echem proustowsko-joyce'owskich eksperymentów, wychodzi często od kontrowersyj o charakterze poznawczym, odbywa się w imię odkrycia jakichś niedostrzeganych aspektów ludzkiego świata, niewyrażalnych za pomocą stosowanych dotąd środków artystycznego przekazu. „Co prawda, mógłbym również kłamać, używając odwiecznych sposobów, które literatura przyzwyczaiła się stosować, aby udać, że wyraża prawdę, ale na to nie mam wyobraźni" — tak kwitował swoje pisarstwo właśnie Tadeusz Borowski. A tak pisała w 1947 roku, kilka miesięcy po wydaniu „Medalionów", Zofia Nałkowska: „Technika ściśle realistyczna nie odpowiada procesowi narastania naszej wiedzy o świecie [...] jest wynikiem nie obserwacji, tylko „wyobraźni twórczej", jest — bardziej od innych rodzajów prozy — stylizacją. Przedstawia świat nieprawdziwy i nieprawdopodobny, wnętrza lub akcje równoległe, w których autor nie mógł być jednocześnie, sceny między dwiema osobami, gdzie nie ma miejsca na obecność osoby trzeciej. Świat, którego autor nie mógł doznać jako rzeczywistości żytej".

**W sporym więc odłamie powieści tradycyjnej sytuacja narratora (relacja w 3 osobie) nie jest jasna, bo nie jest konkretna. Unosi on się niczym wszechwiedzący duch-bóg nad stworzoną przez siebie rzeczywistością, relacjonując jej równoczesne bądź wielce odległe czasowo aspekty. W ten sposób przecież empirycznie nie poznajemy świata. Toteż cytat z Nałkowskiej doskonale pokazuje ogólny kierunek, w jakim zmierzały u nas, owocujące w sposób naturalny przede wszystkim po październiku, określone „teoriopoznawcze" opozycje wobec kanonów tradycyjnej prozy. Był to kierunek, obecnie zresztą o wiele dalej posunięty niż w praktyce artystycznej Nałkowskiej, wiodący do uautentycznienia i ukonkretnienia perspektywy narracji oraz sytuacji narratora, kierunek — nie chcę go na razie wartościować — zmierzający do utożsamienia procesu twórczego (i jego rezultatów) z empirycznymi procesami poznawczymi, zawężonymi do „werystycznej" perspektywy oglądu świata przez jednostkę. Narracja z pozycji „ja" — nazwijmy ją umownie „antynarracją" w odróżnieniu od znanego już dawniej sposobu relacjonowania minionych wydarzeń, w których uczestniczył lub które oglądał narrator, oraz oczywiście w odróżnieniu od narracji w 3 osobie — a więc antynarracja odnotowuje jakby na bieżąco, nieledwie sekunda po sekundzie, zagęszczoną magmę mikrozdarzeń, jakich ewentualne ogólniejsze znaczenie i obiektywna motywacja jest przed opowiadającym zakryta, i odsłania introspekcyjnie przebiegi aktualnych psychicznych doznań narratora. W krańcowych wypadkach rzeczywistość w ogóle przepływa jedyale potokiem świadomości narratora, aktualny pozostaje tylko sam fakt monologu wewnętrznego, na terenie którego przełamują się i zatrzymują wydarzenia świata obiektywnego przemieszane z różnorakimi retrospekcjami i skomplikowanymi stanami psychiki podmiotu. Mniej lub więcej czystą formę tego rodzaju antynarracji prezentują m. in. niektóre „opowiadania" z tomu Nowakowskiego „Silna gorączka", „Robaki" (Twórczość 1964, nr 11) tegoż autora, Iredyńskiego „Dzień oszusta" oraz „Ukryty w słońcu" (Twórczość 1963, nr 3), a także — przy wszystkich różnicach — oba tomiki Stachury: „Jeden dzień", i „Falując na wietrze".**

Tradycyjny narrator prezentował rzeczywistość jako obszerniejszy zespół obiektywnych wydarzeń pięknie zakomponowanych w ciąg przyczynowo-skutkowy zwany fabułą, wyselekcjonowany — mimo pozorów większego lub mniejszego bogactwa realiów: obyczajowej i krajobrazowej opisowości — wokół węzłowych, probierczych faktów, gdzie nie ma miejsca na przypadek, gdzie konflikty gładko musiały się zawiązywać, kulminować i rozwiązywać i gdzie biografie jednostek-bohaterów tłumaczyły się jako zespół jednoznacznie motywowanych relacyj zachodzących w świecie oraz stanowiły prosto rozkładalne funkcje tętniących rytmem historii procesów społecznych, ekonomicznych, politycznych i narodowych (czyli w efekcie bohaterem stawały się same te procesy). Ten typ narracji był znakiem zasadniczej poznawalności świata i możliwości uogólnienia losu jednostki ujętego poprzez konwencje społecznego obcowania, systemy nadrzędnych odniesień i uwarunkowań. Ale oznaczał też pewne uproszczenia, jaskrawo występujące potem w schematycznych utworach socrealizmu.

Inaczej — w wypadku antynarracji. Już w 1926 roku — w związku z twórczością spod znaku eksperymentów proustowskich — dostrzegła Nałkowska perspektywy tego problemu: „Wyznawcy rzeczywistości nie wyłamują z niej jakiegoś kompleksu zjawisk, by je później sztucznie wedle z góry powziętego planu rozłożyć i poddać celom swego twórczego pomysłu. Oni sami tkwią w życiu i w obrębie jego praw, w kategoriach jego wartości realizują swoją twórczość. Nie uproszczenie i uogólnienie ich pociąga, ale złożoność, komplikacja stosunków i uzależnień, pociąga ich dziwność, niekonsekwencja, bogactwo i jedyność rzeczywistości. To, co jest niepowtarzalne, nie da się uogólnić".

Już nawet u Stendhala tkwią ciekawe sygnały w tym zakresie — zamknięty w seminarium bohater ironicznie roztrząsa „ważkie" zagadnienie, jak by tu pobożnie zjeść jajko (z okiem wzniesionym do góry — dopowiedziałby Gałczyński), dając tym wyraz autorskiemu przekonaniu, że nie wszystkie sprawy człowieka pozwalają się sprowadzić do nadrzędnych uzasadnień ideowych. Śledząc drobiazgowo doznania podmiotu, antynarracja pokazuje często różnego rodzaju złożone wymiary egzystencji jednostkowej, niekoherentne wobec układów: „czasu historycznego" i „przestrzeni społecznej", i to pokazuje niejednokrotnie za pomocą bezpośredniej refleksji (umotywowanej — nie tylko, ale także — założeniami „strumienia świadomości"): „każda rzecz, co mocno i boleśnie siedzi w człowieku, równa jest sobie, niech będzie dramat władzy, konflikt idei i życia, sumienia i jeszcze czegoś tam, a niech to będzie zwykła, oślizgła żądza, wszystko ma ten sam ciężar, nie ma ważnego i nieważnego" („Robaki"). To pierwsze. Po wtóre — „rzeczywistość żyta", widziana z perspektywy bieżącego oglądu jednostki, nie układa się przecież w jednoznaczną i konsekwentnie zakomponowaną fabułę. Toteż chcąc wyłapać całe wielokierunkowe splątanie każdego momentu ludzkiego trwania w czasie, antynarracja rezygnuje w ogóle z fabuły. Utwór przekornie zaczyna się jakby od środka, pewnego byle jakiego ranka na przykład, i kończy się w równie „nieważnej" chwili; będą to owe relacje o jednym czy dwu dniach — na płaszczyźnie aktualnej — życia bohatera („Dzień oszusta", „Robaki"). Na — niezamierzoną chyba? — parodię kompozycji powieści fabularnej, gładko zamykającej w obrębie poszczególnych rozdziałów spoiste kompleksy wydarzeń, zakrawa konstrukcja „Ukrytego w słońcu" który to utwór posiada 12 rozdziałów zawartych między godziną... 15 a 16 (I:15—15[14], II:15[14]—15[18], III:15[18]—15[20] itd.); relacja rozpryskuje się na szereg momentalnych i luźno ze sobą połączonych mikrowypadków, stanów psychicznych i retrospekcyj nakładających czas przeszły na teraźniejszy. Wypowiedzi narratora „Robaków" o fabule nie wymagają komentarza: „Schematyczne kreowanie świata, schematyczne, bo brak rozszczepień, nieokreślonych sytuacji wszystkim musi rządzić logika, która w życiu nie jest znów taka najwyraźniejsza [...] fabuła, w tym słowie zawiera się moje marzenie za uporządkowanym, jasnym życiem, gdzie wszystko wyważone jak harmonijna budowla, nic z błota, nic z zamętu".

Omawianemu typowi antynarracji nie byłbym skłonny przypisywać zbyt ściśle określonych założeń filozoficznych, bo możliwości twórczych modyfikacji są tutaj spore, trudno się wszakże oprzeć dość oczywistemu stwierdzeniu, iż za tym wszystkim tkwi niebezpieczeństwo pojmowania świata jako układu obiektywnie niepoznawalnego, dostępnego tylko w postaci magmy niesnierarchizowanych faktów, których jednostka nie jest w stanie intelektualnie uporządkować i którym się biernie poddaje. Gdzieś w tych rejonach trzeba by szukać powodów szczególnej nośności antynarracji wobec ahistorycznych koncepcji egzystencjalnej bezzasadności losu ludzkiego, totalnego rozziewu między historią a jednostką, tragicznej nieautentyczności struktury osobowej człowieka, z którymi to koncepcjami trudno się zgodzić, ale których społecznej genezy bynajmniej nie należy lekceważyć, co zresztą jest sprawą osobną, wymagającą oddzielnego omówienia.

Z drugiej strony naturalnym ciążeniem antynarracji wydaje się kierunek od względnie obiektywnego rejestrowania potoku wydarzeń oraz stanów psychiki bohatera ku subiektywnemu monologowi wewnętrznemu o zabarwieniu wyraźnie lirycznym, gdzie liczy się nie tyle jakiekolwiek racjonalne poznawanie świata, ile jego emocjonalne przeżywanie, z wyraźnym prymatem osobowości mówiącej w stosunku do rzeczywistości. Proza przeradza się tutaj w poezję, świat rzeczywisty jawi się jako „suma lirycznych wzruszeń". Tak właśnie ma się sprawa u Stachury, stąd typowe dla wypowiedzi lirycznej nawroty i powtórzenia w relacji jego narratora i stąd też pewne uzasadnienie dla stwierdzeń w rodzaju: „Niewiele się wie [...] ja myślę, że nie ma za dużo odpowiedzi i że uogólnień nie można, niemożliwe jest rzucać raz po raz".

**I ten liryczny monolog to jest jeszcze rozwiązanie najuczciwsze. W przeciwnym bowiem wypadku — w wypadku bardziej epickiego zakroju utworu — można sformułować ewidentne zastrzeżenie o ograniczoności wiedzy, jaka wyłania się z perspektywy oglądu świata za pośrednictwem antynarracji, ograniczoności będącej prostym odwróceniem uproszczeń tradycyjnej epiki. „»Modernizując« nieco sformułowania Marksa, możemy powiedzieć, że samowiedza, cogito, jednostki, subiektywne „przeżycie swego ja" — są zawsze czymś wtórnym wobec jej działania. Nie mogą więc być konstytutywnym czynnikiem osobowości, lecz są przez nią samą konstytuowane. I to nie zawsze w sposób adekwatny do jej rzeczywistej zawartości". Temu stwierdzeniu T. M. Jaroszewskiego nie potrzeba nic dodawać w aspekcie interesującej nas tu problematyki. Toteż miał rację Lem, kiedy tak pisał na temat „Dnia oszusta" Iredyńskiego (co posiada walor szerszego uogólnienia): „Człowiek może „poznać sam siebie" w niewiele tylko większym stopniu, niż to potrafią inni, i winien przeanalizować w tym celu swoje czyny przede wszystkim, to jest całą przeszłość, a nie ograniczać się do bieżącej introspekcji badawczej, gdyż procesy warunkujące powstawanie działań i reakcji biorą początek poza granicami dającej się wysondować introspekcyjnie świadomości".**

Historyczno-literackie znaczenie doświadczeń antynarracji, w jej stosunkowo czystym wydaniu, zaczyna u nas maleć. Doświadczenia te odsłoniły — w zgęszczonym obrazie literackiego skrótu — całe skomplikowanie jednostkowego wymiaru świata i uwrażliwiły na nie świadomość artystyczną, odsłoniły jednak także swoją poznawczą ograniczoność i bezradność wobec obiektywnego układu naszej epoki. Wychodząc od zasadnych pytań o złożoną prawdę ludzkiego losu, zdają się paradoksalnie zmierzać do zanegowania poznawalności owej prawdy. Przyszłość, jak przeczuwam, należy do wielkiej syntezy różnych technik narracyjnych, mogącej wydać dzieło, które ogarnęłoby całą złożoność naszego czasu. W tym kierunku poszły próby Macha w „Górach nad czarnym morzem". Jak ma wszakże wyglądać owe dzieło — nie wiem, w przeciwnym wypadku nie zajmowałbym się pisaniem popularyzacyjnych artykułów o „nowej prozie", lecz zajmowałbym się pisaniem takiego dzieła.

**Maciej Podgórski**

---

# DEFICYT ARTYSTYCZNY

(Dokończenie ze str. 1)

repertuar nacechowany wiedzą teatrologiczną, dobrze wyważony, uwzględniający pozycje trudniejsze i łatwiejsze, lecz wyłącznie pozycje o niezaprzeczalnych walorach artystycznych i ideowych. Nie mylmy repertuaru snobistycznego z repertuarem ambitnym.

**Osłabia argumentację dyr. Torończyka również fakt, że bodaj całkowite zlikwidowanie usług objazdowych nie uprościłoby teatrowi wojewódzkiemu radykalnie planowania repertuarowego, albowiem publiczność miejska też nie jest monolitem kulturalnym. Sedno sprawy tkwi na pewno w posiadaniu dwóch scen, którego potrzebę sygnalizował od czasu do czasu dyr. Torończyk. Tylko, że owo sedno tkwi nie w samym posiadaniu placówek, ale i w racjonalnym nimi dysponowaniu. Przepis na to, gdzieniegdzie w Polsce wypróbowany, nie nastręcza trudności: wystawia się symultanicznie — sztukę komunikatywną na scenie dużej i „awangardową" na małej, albo vice versa, w zależności od kalibru utworu. W ten sposób spełnia się jednocześnie wymagania różnych kategorii widzów.**

— Zgoda — powie nam dyr. Torończyk — ale, żeby stosować ten prosty sposób na dwóch scenach, trzeba najpierw dwie sceny mieć.

Wtedy z kolei zapytamy, jak się to stało, że dyrekcja Teatru Osterwy, skądinąd dość obrotna, nie „wychodziła" sobie przez długie lata sceny kameralnej? Czy, aby naprawdę jej pragnęła? Przecież „Reduta 61", zorganizowana staraniem Machulskich, padła nie tyle dlatego, że mieściła się na wysokim piętrze, ile dlatego, że nie znaleziono dla niej miejsca w budżecie. Tak dzieje się wówczas, gdy brak staranniejszej kalkulacji — której można się nauczyć chociażby od PZU — zastępuje się żądaniem, by każda agenda teatralna była dochodowa. Uwaga niniejsza, nawiasem mówiąc, ma zasięg pozawojewódzki.

**Dalej: w r. 1965 powstała tzw. „Scena inicjatyw", będąca zwyczajnie tąże sceną Teatru Osterwy — wykorzystywaną w wolne poniedziałki, ni to w planie, ni to na „chałturki". I cóż? Głucho o niej od szeregu miesięcy. Widocznie inicjatywy nie dopisują, bądź szwankuje gospodarowanie zespołem.**

Istnieje wreszcie dogodna scena klubu „Relaks", której *dominium directum* należy do „Estrady", zaś *dominium utile*... do nikogo. Sala „Relaksu" po całych tygodniach świeciła pustkami, przy szczerych chęciach dawno można było dogadać się z PPIE oraz z ludźmi znajdującymi się, według określenia „Kultury i Życia" — „w ośrodkach dyspozycji urzędowej...". Oczywiście i „Reduta 61", i „Scena inicjatyw", posłużyły mi tylko do charakterystyki pewnych poczynań kierowniczych — de facto agendy funkcjonujące raz w tygodniu nie są zdolne zlikwidować trudności repertuarowych. Ale taki „Relaks", sala na trzysta przeszło miejsc, otrzymana do stałego użytkowania, to rzecz zgoła inna. Zbyt długo jednak zwlekano z konkretnymi pertraktacjami. Wkładając więcej energii w zdobycie tej sali we właściwym czasie dyrekcja Państwowego Teatru im. J. Osterwy mogła uniknąć rozpaczliwego zagubienia się w planowaniu repertuarowym.

Z całkowitym przekonaniem kładę nacisk na tę sprawę kardynalną: potrzebę istnienia w Lublinie dwóch scen dramatycznych z odpowiednio skoordynowanym repertuarem. Na tym wszakże nie kończą się główne warunki stworzenia prawdziwie ambitnego teatru. Najważniejszym z nich jest planowanie repertuaru i kompletowanie zespołu nie pod kątem wymiany świadczeń personalnych, lecz z nieustającą troską o rzeczywiste potrzeby kulturalne wszystkich środowisk społecznych. Naturalnie, ważnym byłoby momentem dla teatrów wojewódzkich osłabienie nacisku planu finansowego, ale nie mniej ważne jest wyzbycie się pozycji forsowanych gwoli widoków pozaartystycznych i bezideowych.

**Jest rzeczą jasną, że dla pomyślnej realizacji powyższych postulatów teatry muszą napotkać sprzyjającą postawę kooperantów kształtujących życie teatralne — reżyserów, pisarzy, tłumaczy, ZAIKS-u (wyliczam zaledwie kilka czynników teatralnych i przyteatralnych). Może trzeba by aż przeciąć jakiś węzeł gordyjski....**

Na razie, czekając na „Aleksandra", mamy sytuację nie najlepszą. Przecie, gdyby nie dogrywane „Tango", lubelscy miłośnicy teatru spisaliby wrzesień, październik, listopad, grudzień i styczeń na stratę. Czym bowiem otwarto sezon w Teatrze im. J. Osterwy? „Robin Hoodem" w fatalnej adaptacji, „Nocną opowieścią", nie zawierającą żadnej realnej myśli konstruktywnej, wreszcie płaskim musicalem „Happy end" — wydatkiem dewizowym wręcz zbędnym dla Polski. O dalszych zapowiedziach nie mówię, ponieważ chcę wierzyć w zmiany na lepsze. Jakże jednak boli czas stracony.

**Naszkicowane tu uwagi nie dotyczą li tylko koniunktury lubelskiej. Korzenie sięgają głęboko. Na zebraniu Klubu Krytyki Teatralnej, gdzie była mowa o planach repertuarowych zgłoszonych z całej Polski, zaniepokoiła mnie mocno wiadomość, że wiele teatrów stosuje praktykę „pozycji wiodących". Wiodących co? — Przygodny zestaw rozrywkowej tandety. „Bo plan finansowy wielki... bo frekwencja mała..." Na wszystkich szczeblach zapomina się o elementarnej zasadzie, tak trafnie ostatnio sformułowanej przez Jana Świderskiego („Polityka" nr 52), że w sztuce „trzeba inwestować z pełną świadomością strat".**

**Tam, gdzie nie posiada się umiejętności planowania strat finansowych, tj. kompensowania ich godziwymi zyskami, dochodzi nieuchronnie do poważnych strat artystycznych. W teatrze, godziwym zyskiem jest zysk z pozycji popularnych a zarazem wartościowych. Umiejętności dyrekcji teatralnych w godziwym planowaniu kompensacyjnym pozostają nieodzowne, dopóki nie zwycięży w kraju zasada racjonalnej kompensacji międzyresortowej i dopóki, z drugiej strony, całe społeczeństwo nie dojrzeje do zapewnienia teatrom bezdeficytowej frekwencji.**

W tym miejscu nasuwa się uwaga, że zwabienie widza do gmachu teatralnego drogą kompromisów artystycznych nie jest równoznaczne ze zdobyciem prawdziwego, świadomego odbiorcy sztuki. Droga do upowszechnienia kultury teatralnej prowadzi poprzez repertuar pociągający swymi walorami, poprzez właściwą jego realizację, poprzez wychowanie wrażliwego widza — że też nie przemija żenująca konieczność powtarzania tych truizmów!

Jest rzeczą niezmiernie doniosłą, by teatry uzyskały kontrahenta m. in. we władzach szkolnych i nauczycielstwie, by w szkołach powstawały powszechnie — studia teatrologiczne. O ich potrzebie mówiono przekonująco na II Krajowym Zjeździe Miłośników Teatru. W ogóle to szlachetne miłośnictwo, rozwijające się coraz pełniej w domach kultury i klubach, czy to na wsi, czy w zakładach pracy, pozwala mi zakończyć moje rozważania akcentem optymistycznym. Obrady wspomnianego zjazdu ujawniły niemało oddolnych inicjatyw w zakresie współpracy działaczy społecznych z teatrami. Przypuszczam, iż wypowiedzi zjazdowe zostaną szczegółowo przeanalizowane na łamach „Teatru Ludowego", miesięcznika Związku Teatrów Amatorskich, który to związek właśnie zorganizował tak pożyteczny zjazd. Sukces cennych sugestii przyjaciół teatru zależy jednak w dużej mierze od dobrej woli głównego partnera — od dyrekcji teatralnych.

**Maria Bechczyc - Rudnicka**

# STARY WOREK

ADAM JANUSZ BIEŃ

NA PLACU, gdzie stała dawniej bożnica, wyrosły zielone drzewka. Trzeba jednak przyznać, że chuderlawe to jeszcze rośliny, konary mają cieniutkie i niezbyt wiele cienia znajdziesz pod nimi, chociaż na ławkach, rozrzuconych wśród płaszczyzn trawników, siedzi się bardzo przyjemnie. Wiatr, szeleszczący młodymi listkami, chłodzi rozgrzane ciała. Tutaj dziewczyny pocą się mniej, niż gdzie indziej. Zresztą opodal jest kiosk. Można więc pokrzepić się piwem, a dziewczynie kupić lemoniadę, kiedy duszność letniego wieczoru staje się nie do wytrzymania.

Kulawy, sprzedający piwo, dba o interes. Budka z napojami chłodzącymi otwarta jest prawie do północy. Ludzie przestrzegają Kulawego, żeby wcześniej zamykał, bo to niebezpiecznie tak długo w nocy samotnie przebywać w tej dzielnicy, ale Kulawy się nie boi. Wzruszając ramionami, uśmiecha się pod nosem. — Mnie... — pyta — mnie zaczepią? — Patrzy ze zdziwieniem na tych, co go straszą i pierś dumnie do przodu wypina, aby łatwiej było zobaczyć ten jego Krzyż Walecznych, przypięty do wyświechtanej marynarki w krateczkę.

Kiedyś jednak dwóch cwaniaczków zaczaiło się w krzakach. Kulawy, nie spodziewając się niczego, kuśtykał wolniutko nucąc pógłosem wojenne piosenki, gdyż nastrój miał tego dnia pogodny. Kilku stałych bywalców postawiło mu po dużym piwie. Podśpiewywał więc radośnie, dając wyraz swemu zadowoleniu z życia, i umilkł dopiero wówczas, gdy tamci dwaj zagrodzili mu drogę.

— Dawaj kasę, stary!

— Nie rozumiem, panowie — zdziwił się Kulawy.

Dostał w łeb i przestał rozumować. Do rana przeleżał w krzakach. Od tego dnia stracił zaufanie do społeczeństwa i budkę zamyka wcześniej. Do dwudziestej drugiej można się jednak u niego napić i to jest dobre, bo budka zaraz pod ręką.

Co chwila wstaje ktoś z ławki i sunie alejką w stronę kiosku. Kulawy, widząc przed sobą chłopaka, podsuwa mu w milczeniu napełniony kufel i podaje lemoniadę.

Przedtem, gdy nie było tu pięknie wygracowanych alejek, trawników, ławek i chuderlawych drzewek, obawiano się tej dzielnicy. Nikt tędy nie spacerował, bo ludzie lękali się nie tylko umarłych, leżących pod gruzami wypalonych domów, ale bali się także żywych. Zaraz po wojnie przerażało człowieka wszystko: czyjeś skradające się kroki, cichy pojedynczy strzał i krzyk w ruinach, jęk niezbyt głośny, stłumiony...

Gdy wybierałem się na żydowskie miasto, babka odprowadzająca mnie do progu domu kreśliła nade mną znak krzyża świętego.

— Ażebyś tylko wrócił, synku, ażebyś wrócił zdrów i cały!

Mimo babczynych błogosławieństw i życzeń bałem się ogromnie, gdyż wypalone mury bożnicy przybierały w nocy najrozmaitsze kształty. Księżyc, który wyłaził zza chmur, oblewał je bladym światłem. W żółtawym blasku czerniały mi przed oczyma postacie wielkoludów i jaśniały wysmukłe sylwetki duchów, spowitych białymi płachtami. I chociaż wysmarowany byłem dokładnie święconą wodą, w którą zaopatrywałem się w kościele jeszcze przed wejściem na teren żydowskiego miasta, trząsłem się ze strachu z trudem powstrzymując głośne dzwonienie zębów. Bo klucząc wśród zwałów gruzu śmierdzącego świeżą spalenizną, stawałem nagle jak wryty i nie mogłem zmusić się do postąpienia kroku, przerażony dziwadłem jawiącym się przede mną, a mieszkającym w głębi wypalonych murów, w bezdennych lejach bombowych lub w ciemnych dziurach okien, pozbawionych szyb. Klękałem wówczas i mówiłem pacierz, szepcząc tak długo słowa modlitwy, dopóki nie opuścił mnie lęk. Ale zdarzało się to bardzo rzadko. Mimo błogosławieństw babki, mimo mojej modlitwy i święconej wody, która parowała niezmiernie szybko podczas letnich nocy — lęk był wciąż we mnie, siedział gdzieś koło serca, pchał się do gardła i dusił. Czasami tylko malał, kurcząc się do takich rozmiarów, że mogłem już sobie z nim poradzić. Wstając z klęczek podnosiłem swój worek i szedłem, aby nie dać wyprzedzić się innym i nie wrócić do domu z pustymi rękami.

Mrucząc pod nosem słowa modlitwy i zaklęć, wydobywając z kieszeni ostatnie krople święconej wody, którą rozlewałem przed sobą, posuwałem się wolno w stronę czarnego wielkoluda lub białej postaci ducha. I w chwili, kiedy dzieliło mnie od nich zaledwie kilka metrów, kiedy zdawało mi się, że wcale nie mam nóg, bo wrosły mi one w ziemię, zapuszczając korzenie — czarny wielkolud przemieniał się w konar drzewa ściętego pociskiem, a biały duch w kawał muru jaśniejącego plamą tynku.

Śmiałem się wtedy sam z siebie: o Boże, jaki ja głupi. Boże mój drogi! Tyle czasu straciłem, tyle cennych minut, zapominając o tym, że noc jest krótka. Trzeba się śpieszyć, jeżeli nie chcę wrócić z pustym workiem. Trzeba wziąć się do roboty, jeżeli pragnę jeść chleb i kartofle. Muszę szukać! Może znajdę...

Najlepiej byłoby trafić na złoto, na kilka szwajcarskich zegarków lub srebrne łyżeczki. Ten towar idzie na bazarze najprędzej i najbardziej się opłaca. Szkoda, że nie mam szczęścia. Szkoda, że szczęście wciąż mnie omija, bo dotychczas nigdy jeszcze mi się nie przydarzyło, żebym znalazł coś z tych rzeczy. Inne natomiast znajduję, niepotrzebne wielkoludy i duchy albo prawdziwe trupy.

Gdy natknąłem się na tego, co wisiał na drzewie, nie mogłem uwierzyć, że to prawdziwy nieboszczyk. Znów mi się zwiduje — myślałem, idąc wprost na niego i rozpryskując przed sobą krople święconej wody. Dwoi mi się w oczach — myślałem. — Podwójnie widzę, gdyż porządnej kolacji nie zjadłem. Taka kolacja jak ta, którą przygotowała mi babka, to żadne jedzenie, ot, trochę ziemniaków z solą i to wszystko. Nic więc dziwnego, że przywidują mi się zjawy, że słaby jestem i sen mam lekki. Budzi mnie najcichszy szelest, a nawet własny burczący brzuch. Gdybym najadł się do syta, nie zerwałby mnie z łóżka dźwięk wielkanocnych dzwonów. Spałbym twardo jak niedźwiedź albo jak Blondynek, który wstaje dopiero około południa i pije zaraz gorące kakao, bo jego mama pracuje w biurze rozdzielającym paczki Czerwonego Krzyża.

Blondynek jest tłusty i rumiany. Wysypia się zdrowo po nocach i nie chodzi na żydowskie miasto. Kiedy ja idę przez gruzowiska, dźwigając na plecach swój worek, jemu śnią się Indianie, taki jeden, co zwał się Winnetou, Ostatni Mohikanin, dziwny Duch Puszczy, Kiddy — dziecię obozu i jeszcze kilku innych. Czasami Blondynek opowiada mi o nich. Trzeba przyznać, że gada ładnie, więc jeśli jestem nażarty słucham go z przyjemnością. Wokół panuje cisza. W mieście nikt już nie strzela, nie ma alarmów i łapanek. Spokój. Szum rzeki tylko słychać i głos Blondynka, usypiający jak kołysanka.

Początkowo miałem zamiar namówić go, by zaczął ze mną chodzić. We dwóch zawsze raźniej niż jednemu, toteż gdy znów zaczął mi bajać o tych Indianach, przerwałem mu niecierpliwie w połowie zdania i rzekłem:

— Ty lubisz przygody. Po co zatem psujesz oczy czytaniem książek, skoro można tego uniknąć? Wystarczy, że pójdziesz ze mną na żydowskie miasto, pójdziesz nocą ciemną, kiedy księżyc zakrywają chmury i nic nie widać na krok. A gdy usłyszysz strzały, czyjś cichy, stłumiony krzyk, gdy kopniesz niechcąco trupią czaszkę myśląc, że to zwykły kamień, będziesz miał przygodę piękniejszą niż Kiddy — dziecię obozu. Pójdziesz ze mną?

Blondynek unika mego wzroku. Jego pucołowate policzki czerwienieją jeszcze bardziej. Nie spuszczając zeń wzroku, pytam złośliwie:

— Boisz się, grubasie? Tchórzysz?

— Nie.

— To czego nie chcesz iść?

— Bo jednak...

— A mówiłem! Mówiłem, że się boisz...

— Ja się boję tylko gruźlicy — szepcze Blondynek. — Tylko jej...

Macham lekceważąco ręką:

— Co tam gruźlica! Nic ci nie zrobi jakaś tam gruźlica, skoro dobrze się odżywiasz. Mama dba o ciebie.

— Tak — zgadza się Blondynek. — Teraz jem dobrze, ale przedtem było marnie. Lekarz mówił, że za mało witamin, za mało jarzyn i owoców w porównaniu z ilością sacharyny i marmolady z buraków. To wszystko odbiło się na moim organizmie. Na własne uszy słyszałem, jak pan doktor powiedział do mamy: „to cud, proszę pani, że on przetrzymał, cud doprawdy, sam nie mogę w to uwierzyć, sądziłem, iż skończy..." Lecz ja wyszedłem z tej choroby. Czasem wprawdzie zakłuje mnie jeszcze w boku i boli trochę. Ten ból jest jednak możliwy do zniesienia, wytrzymuję. Ale chcę być całkiem zdrowy, rozumiesz? I dlatego piję tran i staram się dużo jeść. Zjadam codziennie podwójne porcje: jedną normalną, a drugą na zapas i za tamte dni, kiedy nic nie było. I dlatego nigdzie z tobą nie pójdę, nie będą chodził nocami po żydowskim mieście, bo to miejsce jest smutne.

— Ale tam jest złoto!

Blondynek uśmiechnął się ironicznie.

— Od złota wolę kakao — powiedział. — Ma więcej kalorii.

To mnie rozzłościło. Ten jego cichy głos, pewność siebie i uśmiech, a także kakao, o którym wspomniał i za którym tęsknilem prawie tak samo jak za ojcem, co z wojny jeszcze nie wrócił.

— Więc nie pójdziesz?

— Nie — rzekł kategorycznie Blondynek. — Mowy nie ma!

Wtedy go kopnąłem: szybko, mocno, niespodziewanie. Blondynek upadł. Patrząc nań byłem pewien, że zacznie się bić. Oparty plecami o pień drzewa czekałem, kiedy skoczy do mnie z zaciśniętymi pięściami. Ale on, podnosząc się powoli z ziemi i otrzepując z kurzu spodnie, poprawił jedynie okulary.

— Pewnie myślisz, że się boję — powiedział. — Na pewno tak myślisz i zdziwiony jesteś, że się z tobą nie biję. Nazwiesz mnie znowu tchórzem, naplujesz mi w twarz. Dobra, zrobisz co zechcesz, lecz ja i tak nie pójdę z tobą na żydowskie miasto i nie będę się bił, bo pan doktor zalecił mi spokój, rozumiesz... — Blondynek urwał nagle, jakby zabrakło mu słów...

Pozostawiłem go w spokoju. Nie kopnąłem go ponownie w tyłek i nie namawiałem już nigdy, aby szedł ze mną na żydowskie miasto, gdzie można zawadzić butem o trupią czaszkę, biorąc ją za zwykły kamień.

Sam jednak nie przestawałem tam chodzić. Niosąc ze sobą święconą wodę i stary worek na plecach, skradałem się znanymi mi ścieżkami, wiodącymi wśród gruzów. Lecz chociaż miałem przy sobie tę wodę święconą, którą smarowałem obficie twarz, ręce i szyję, w której moczyłem chusteczkę, trzymając ją na wszelki wypadek w kieszeni — lęk mnie wcale nie opuszczał, wciąż się bałem, bo zwidywały mi się wielkoludy i duchy w białych szatach, o długich, drapieżnie wyciągniętych ku mnie rękach. Zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, iż to wszystko jawi mi się w głowie z głodu. Nie zjadałem porządnej kolacji i nie mogę spać spokojnie jak Blondynek. Wiedziałem o tym dobrze, ale wiedziałem także, że czułbym się znacznie lepiej, gdybym miał zamiast święconej wody kogoś bliskiego koło siebie, jakiegoś człowieka. Bo święcona woda, którą podbierałem z kościelnej kropielnicy, znajdującej się w kruchcie, nie zawsze pomagała. Ten trup, wiszący na gałęzi, nie znikł i nie przemienił się w konar ściętego pociskiem drzewa, i nie przeistoczył się w białą plamę tynku, jak to zwykle bywało, choć szeptałem bezustannie zaschłymi wargami:

— Zgiń, przepadnij maro przeklęta! Zejdź mi z oczu duszo nieczysta, precz!

Jego koszula jaśniała w żółtym blasku księżyca. Podchodziłem doń pomału i wreszcie byłem tak blisko, że mogłem dotknąć go palcami. A kiedy dotknąłem, wiedziałem już, że to nie jest drzewo, że to nie jest kamień, lecz człowiek prawdziwy, zimny, umarły, kołyszący się na gałęzi jak na dziecinnej huśtawce.

Uciekłem.

— Czego się tak trzęsiesz jakbyś zmarzł? — pytała babka, zdziwiona moim szybkim powrotem. — Zimno tam? Deszcz pada? Może zaparzyć ci herbatę z lipowego kwiatu... Taka herbata pomaga na wszystko, na reumatyzm i na przeziębienie. Czy zaparzyć ci świeżej?

Milczałem.

— A worka nie ma? Gdzie zostawiłeś worek? w sieni? przed domem? na dworze?

Nie pamiętałem. Uciekając z tego miejsca, z tych ruin przeklętych, gdzie nawet święcona woda traciła swą moc, musiałem zgubić worek. Pędząc na oślep między usypiskami gruzu, nie oglądałem się poza siebie i nie zważałem na ból i krew, cieknącą z porozbijanych kolan. Biegnąc obiecywałem sobie, że nigdy tam już nie wrócę. Choćbym miał znaleźć cały worek złota albo tuzin szwajcarskich zegarków — nie wrócę! To nie na moje zdrowie takie wyprawy. Blondynek się oszczędza, kroku szybciej nie postąpi, żeby się nie przemęczyć i nie spocić, a ja mam codziennie przeżywać swój strach, codziennie mam słyszeć, jak serce mi zamiera, przestaje bić, milknie? O nie, nie ma głupich! Ja też chcę żyć i chcę słyszeć bicie swego serca jeszcze bardzo długo. Nie pójdę tam!

Poszedłem zaraz nazajutrz. Musiałem przecież odnaleźć swój worek, który był niezmiernie mocny, nieprzemakalny, z wojskowego brezentu. Gdyby mi zginął, nie znalazłbym już podobnego, bo te zwykle są słabe, drą się prędko. Włoży człowiek do takiego worka lustro i już dziura. Do niczego są te worki. Kartofle dla świń w nie sypać i nic więcej. Mój brezentowy jest najlepszy.

Poszedłem o świcie, przebudzony jękiem kościelnego dzwonu. Tak bardzo było mi śpieszno, że nie wstępowałem do kościoła i nie zabrałem ze sobą święconej wody. Prawdę mówiąc, w dzień bałem się mniej aniżeli w nocy. Żydowskie miasto w promieniach wschodzącego słońca wcale nie wygląda strasznie.

Obok bożnicy, tuż koło wielkiej kupy gruzu, która nazywała się dawniej ulicą Kazimierzowską, stała pokaźna grupa ludzi. Zbliżyłem się do nich, do kobiet i mężczyzn, trwających w upartym milczeniu, zapatrzonych przed siebie w jakiś jeden punkt i rozmawiających ściszonymi głosami niczym na pogrzebie.

Rozglądnąłem się wokół, szukając w tłumie znajomej twarzy i spostrzegłem Blondynka.

— Cześć gruźlica! Co jest z tobą, przestałeś się szanować czy amerykańskie kakao ci pomogło?

— Odczep się...

Chciał biec, ale go zatrzymałem.

— Co tam się stało?

— Sam zobaczysz...

— Mów, kiedy pytam!

— Powiesili go...

Zaczął się wyrywać, lecz ja trzymałem mocno.

— Kogo powiesili? Co ty, grubasie... Co zmyślasz? Mów porządnie!

— Sławomira powiesili. Wiesz, tego chłopaka, co już się golił. Tego co do niedawna bawił się z nami. Tego, co nosił na rękawie biało-czerwoną opaskę, co porządek chciał tu robić...

Puściłem go. Blondynek zachwiał się i siadł. Otworzywszy szeroko usta, zachłystywał się powietrzem.

— Nie bujasz? — szepnąłem. — Naprawdę nie bujasz? Przysięgnij!

Zaciśniętą pięścią uderzył się w pierś.

— Jak mamę kocham! Idź, sprawdź.

Wstał i powłócząc nogami, które uginały się pod nim, szedł jeszcze wolniej niż zwykle.

— A ty nie pójdziesz? — zapytałem. — Nie chcesz popatrzeć?

— Nie — powiedział — nie chcę i nie mogę. Pan doktor zalecił mi spokój. Niedobrze mi, gdy na to patrzę. Rzygać mi się chce po tym wszystkim bardziej niż po tranie. Wolę siedzieć w domu. Wolę czytać o dzikich Indianach.

Odszedł, a ja nie próbowałem go zatrzymywać. Widząc, jak wlecze się wolno noga za nogą, z głową nisko zwieszoną, pomyślałem, że on ma chyba rację czytając o tych dzikusach i uciekając nawet myślami z ruin żydowskiego miasta, i od tego, co tu się dzieje i działo. Pomyślałem, że powinienem zrobić to samo, powinienem pójść w jego ślady i uciec stąd jak najprędzej i nigdy nie wracać.

Stojąc wśród gruzów i oglądając się za Blondynkiem, który znikał mi z oczu, przypomniałem sobie, po co tu przyszedłem. Przecież zgubiłem swój worek, pakowny i mocny, z wojskowego brezentu! Żal mi go się zrobiło. Ktoś inny go znajdzie i będzie miał z niego pożytek, będzie ładował do mego worka najrozmaitsze przedmioty znalezione w wypalonych domach i będzie je sprzedawał, zbijając majątek. Nie mogę na to pozwolić!

Spoglądając w stronę tłumu, gromadzącego się na żydowskim mieście, przestałem zastanawiać się nad Blondynkiem i jego Indianami. Mój worek okazał się ważniejszy. Bez niego zdechłbym jak pucołowaty Blondynek bez swojej porcji kakao. Jeśli znajdę ten worek — pomyślałem — to może kiedyś szczęście mi dopisze i trafię na złoto. Wtedy kupię sobie rower i wyjadę stąd jak najdalej, żeby zapomnieć o tym mieście, żeby nie patrzeć na te gruzy.

Zacząłem przepychać się przez tłum. Jak piskorz wiłem się wśród szerokich męskich barów i okrągłych tyłków bab. Poruszająca się bez przerwy ogromna góra ludzkiego mięsa, ostro pachnącego potem, falowała mi przed oczyma, zasłaniając widok. Kiedy wreszcie dotarłem do pierwszego rzędu gapiów, kiedy niczyje plecy nie wyłoniły się obok mej twarzy, zobaczyłem, że tuż przede mną wisiał człowiek. Kołysał się na sznurze jak na dziecinnej huśtawce. I gdyby nie jego sina twarz, głowa zwieszona na piersi i język wywalony na brodę, można byłoby pomyśleć, że on naprawdę się bawi. Tak ładnie i spokojnie huśtał się na tym sznurze.

— Sławek... — szepnąłem. — Panie Sławek... — Mój głos utonął w szmerze tłumu jak w rzece. Ludzie, otaczający wisielca zwartym kołem, dzielili się uwagami. Pomiędzy jednym a drugim „wiecznym odpoczywaniem" trafiało się przekleństwo.

— Dobrze mu tak, czerwonemu. Jak żył, tak zdechł! Bez księdza i rozgrzeszenia...

— Przecież to nie czerwony, tylko szabrownik! Worka nie widzicie?

Koło drzewa na ziemi leżał mój worek: dobry, z wojskowego brezentu. Obok worka i drzewa, na którym huśtał się wisielec, miarowym krokiem spacerował żołnierz.

— Rozejść się — mówił. — Proszę się tu nie tłoczyć, obywatele!

Nikt go nie słuchał i nikt się nie ruszył. Jeszcze mocniej zaciśnięto koło. Zaglądając ciekawie w posiniałą twarz, patrząc na język wywalony na brodę, mówiono:

— Tak to jest na świecie. Pieskie życie, pieski koniec. Sumienie spokoju mu nie dawało i obwiesił się na własnym pasku...

— Proszę o spokój! — krzyczał żołnierz. — Rozejść się, zrozumiano?

Ale znowu nikt nawet nie drgnął, nikt go nie posłuchał. Gnani ciekawością nadchodzili ze wszystkich stron i coraz więcej ich tu było i coraz węższym kręgiem otaczali wisielca.

Wyrwałem się z tego koła. Uderzając głową w brzuchy, gryząc i kopiąc, nie-

(Dokończenie na str. 10)

# Wieża ariańska w Wojciechowie

ZABYTEK zwany wieżą ariańską w Wojciechowie jest zamkiem wzniesionym prawdopdobnie przez Pileckich około 1520—1530 r. Składa się z wysokiego budynku murowanego i przylegającego doń czworoboku wałów i fos. Zamek ten jest jedynym na Lubelszczyźnie przykładem rezydencji obronnej zwanej „wieżą mieszkalną".

Wieże mieszkalne jako średniowieczny typ architektoniczny znane są na terenie całej zachodniej i środkowej Europy. W architekturze polskiej przyjęły się w XIV i XV wieku jako siedziby feudałów świeckich i duchownych. Ale czasem i zamki królewskie otrzymywały tę formę, jak np. zamek w Piotrkowie Trybunalskim. Pełniły one funkcje mieszkalne a tylko pewne nieskomplikowane umocnienia nadawały im charakter obronny.

Można przypuszczać, że z wież mieszkalnych wykształcił się typ renesansowego pałacu popularnie zwanego dworem obronnym.

Zamek w Wojciechowie zawiera trzy umieszczone nad sobą pomieszczenia. Reprezentacyjna izba na pierwszym piętrze posiada późnogotyckie sklepienia krzyżowo-żebrowe, najwyższa była belkowanym stropem; komunikację między kondygnacjami zapewniły pierwotnie zapewne drewniane schody od strony podwórza, zastąpione murowaną klatką schodową w dobudówce prawdopodobnie w pierwszej połowie XVII wieku.

Wśród dekoracji architektonicznej największe zainteresowanie budzą niektóre z obramień o bardzo znamiennych formach. Kruche laskowania sąsiadują z gzymsami o klasycznych niemal profilach, na których ścielą się liście płasko stylizowane w palmety.

Nieodosobniony to na Lubelszczyźnie przykład współżycia motywów gotyckich i renesansowych w pierwszej połowie XVI wieku. W zabytkach Kraśnika i Kodnia znajdujemy obramienia utrzymane w tym samym charakterze, lecz o bogatszym jeszcze repertuarze form. Przybywają gotyckie laski owinięte spiralnie wstążką, klasyczne kymationy, ząbki, perełki, oraz motywy geometryczne jakby żywcem zaczerpnięte ze zdobnictwa ludowego.

Dekoracje wieży w Wojciechowie są pierwszą w lubelskiej architekturze zapowiedzią nowego stylu renesansu.

**Mieczysław Kurzątkowski**

# książki•książki•książki

## Między obowiązkiem obywatelskim a interesem własnym

W OSTATNICH latach nastąpił w polskiej historiografii prawdziwy renesans biografistyki. Oparta na nowych założeniach metodologicznych, uwzględniająca w poważnym stopniu to, co zwykle określamy mianem tła historycznego, okazała się cenna i wartościowa pod względem naukowym. Jednocześnie prezentując przede wszystkim wizerunki „żywych ludzi" i przedstawiając ich działalność, bez wątpienia wzbudza szersze zainteresowania i przyciąga czytelnika. Po długim okresie „odczłowieczenia" historii i hermetycznych niejednokrotnie badaniach specjalistycznych zapotrzebowanie społeczne na ten popularniejszy w pewnym sensie gatunek historiograficzny jest obecnie bardzo duże. Dlatego też warto sięgnąć po wydaną ostatnio w Lublinie książkę Ryszarda Orłowskiego pt. „Działalność społeczno-gospodarcza Andrzeja Zamojskiego (1737—1792)".

Andrzej Zamojski, kanclerz w pierwszym okresie rządów Stanisława Augusta, twórca głośnego i postępowego projektu Kodeksu Praw oraz znany reformator włościański, był z pewnością jednym z najznakomitszych przedstawicieli polskiego Oświecenia. Wychodząc od znanych faktów i osądów dotyczących jego działalności politycznej, książka R. Orłowskiego znacznie wzbogaca wizerunek ekskanclerza, omawiając jego inne, może mniej efektowne, lecz nie mniej ważne prace i działalność zarówno na niwie publicznej, jak i w dobrach własnych. Jak się okazuje, tym ostatnim, a zwłaszcza Ordynacji Zamojskiej, poświęcał jeden z najbogatszych wówczas magnatów wiele uwagi i starań. Fakt ten rzutował wyraźnie na jego późniejszą działalność, stawiając go często, jak to trafnie określił autor w tytule jednego z rozdziałów książki, „między obowiązkiem obywatelskim a interesem własnym".

Nie kusząc się o pobieżne nawet przedstawienie bogatej treści tej obszernej pracy, warto jednak wspomnieć o rzeczach w niej nowych i oryginalnych, będących wynikiem gruntownych i owocnych badań źródłowych, jakie autor przeprowadził w archiwach i bibliotekach nie tylko krajowych, lecz także zagranicznych. Należą do nich przede wszystkim partie omawiające działalność społeczno-gospodarczą Andrzeja Zamojskiego w krótkim okresie kanclerstwa, zwłaszcza jego żywy udział w korzystnej dla kraju reformie monetarnej, jak i próbie ożywienia przemysłu i handlu (chodzi o stworzoną przez niego Kompanię Manufaktur Wełnianych) czy wreszcie w inspiracji i opiece nad pionierskimi poszukiwaniami geologicznymi. Nader obszernie i z widocznym znawstwem przedstawił autor głośne wówczas reformy czynszowe, jakie przeprowadził Andrzej Zamojski w miastach i należących do niego dobrach wiejskich. Szereg nowych, bardzo interesujących, nie pozbawionych swoistej pikanterii wiadomości przynosi także rozdział ostatni, omawiający „gorszące", jak określali współcześni, spory majątkowe między Andrzejem Zamojskim, a jego bratem Janem Jakubem, spory, w które wmieszany był sam panujący, a w których nader dwuznaczną rolę odgrywał inny wybitny przedstawiciel Oświecenia, Stanisław Staszic, guwerner dzieci ekskanclerza i powiernik jego małżonki Konstancji.

W ostatecznej ocenie omawianej postaci autor szczęśliwie uniknął dwóch nader niebezpiecznych dla prawdy historycznej, a tak często spotykanych w tego rodzaju pracach skrajności: zarówno apologii, jak i przesadnych tendencji do odbrązawiania, kreśląc wizerunek Andrzeja Zamojskiego w sposób jak najbardziej obiektywny i spokojny.

**Wiesław Sładkowski**

Ryszard Orłowski: Działalność społeczno-gospodarcza Andrzeja Zamojskiego (1737—1792), rozprawa habilitacyjna, Lublin 1965 s. 324.

## Z Johnem Barleycornem

OSTATNI tomik *) Wacława Mrozowskiego nie stanowi dla czytelnika niespodzianki. Wiele utworów z tego zbioru zawierały poprzednie publikacje poetyckie — *Drugi brzeg, Akwarium, Wiersze wybrane*. Złączone i uporządkowane w jedną całość nabrały odmiennego wyglądu i innej wagi. Z *Johnem Barleycornem* nie przedstawia bowiem cyklu luźnych wierszy, przeciwnie, ma się w nim do czynienia z poematem autobiograficznym o granicznym charakterze, gdzie wątek epicki osłonięty jest warstwą przejmującego liryzmu. W miejscu tym znajdujemy się już daleko od klimatu dawnych wierszy Mrozowskiego (do *Liryków dolnośląskich* włącznie), którym patronował w sposób oczywisty autor *nuty człowieczej*, czego potwierdzenia były dosyć rozmaite. Można by zauważyć, że w ostatnich tomach nastąpiło przesunięcie akcentów i wymiana struny w instrumencie poetyckim Mrozowskiego. Gałczyński z niektórych wierszy i poematów to sąsiedztwo najbliższe, drugi biegun, ku któremu czasem kieruje się autor. Knajpa, księżyc, żywioł muzyczny byłyby symbolami wspólnoty. Ale chyba wspólnoty w gruncie rzeczy powierzchownej i zewnętrznej. Bo u autora *Z Johnem Barleycornem* sztuka zaczyna utożsamiać się z biografią, za poezję płaci się życiem. I wtedy zmienia się punkt widzenia Alkohol nie jest tylko rekwizytem poetyckim, ale znakiem tragedii człowieka. Z chwilą ujawnienia źródeł inspiracji i nadania wypowiedzi charakteru osobistego wyznania czytelnik przemienia się w odbiorcę skazanego na bezsilne słuchanie. Jeśli przyjmuje się informacje o „tragedii poety", o „poszarpanym szczęściu", o „porażeniu" i jeśli słowa te odnoszą się nie do fikcyjnego podmiotu lirycznego, ale dotyczą piszącego, to przymierzanie do tekstu poetyckiego kryteriów formalnych i estetycznych traci jakikolwiek sens. Chyba, że relacja i komunikat przekształcą się w metaforę wielką, w uogólnienie losu ludzkiego:

Siedzę w akwarium. Wokół ryby
podobne do mnie Jakiś sum
wąsami bije w taflę szyby,
a za szkłem ludzie. Pewnie
wiosna, bo kwitną wiśnie (...)

Więc siedzę dalej. Już nie ryby,
lecz ludzie wokół. Wody nie ma,
Zieleni nie ma. Czapla siwa
kołuje nad akwarium, w którym
dramat poety się rozgrywa

Przy takim postawieniu sprawy przestaje być ważna technika wypowiedzi, a nabiera znaczenia to co bohater tych wierszy ma o sobie do powiedzenia. Mrozowskiego w sposób istotny wyróżnia od innych poetów, piszących o alkoholu, to, że nie chodzi mu o stwarzanie pewnego klimatu, wprowadzanie swoistej atmosfery. Tu nie ma nic z radosnego upojenia i tworzenia nowych choć złudnych światów. Mrozowski uzyskuje głęboki dramatyzm przez stworzenie personifikacji. Alkohol, John Barleycorn staje się drugim bohaterem poematu nieodstępnym towarzyszem i przeciwnikiem, przyjacielem i wrogiem.

Otrzymaliśmy w tym szczupłym tomiku najlepsze rzeczy, jakie Mrozowski napisał. Bardzo indywidualne i własne w rozumieniu przedtem przedstawionym. Przejmujące jako dokument egzystencji ludzkiej. Jako dokument poetycki.

**T. K.**

*) Wacław Mrozowski: Z Johnem Barleycornem. Lublin 1966. Wyd. Lubelskie.

# STARY WOREK

*(Dokończenie ze str. 9)*

czuły na ciosy i przekleństwa, spadające na mnie obficie, przedzierałem się przez gąszcz spoconych rąk i las splątanych nóg.

— Nigdy tu nie wrócę — przyrzekałem sam sobie. — Nigdy już nie pójdę na żydowskie miasto, bo nie chcę wisieć jak tamten, i nie chcę żydowskiego złota splamionego krwią, nie chcę nic...

To było kłamstwo. Nieczęsto się bowiem zdarza człowiekowi, żeby niczego nie pragnął. I ja, chociaż wmawiałem to sobie, oszukiwałem samego siebie. Przecież zawsze chciałem mieć rower, byle jaki, zniszczony, stary grat, ale na kołach z gumami i na chodzie. Aby mieć wymarzony rower i żeby jeść codziennie chociażby ziemniaki z solą, musiałem nadal odwiedzać żydowskie miasto, i musiałem prosić babkę, aby mi uszyła nowy worek, bo tamten przepadł.

— Nieroztropny jesteś — gderała babka. — Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą, a ty wciąż tylko coś gubisz...

Pogadała sobie, pomruczała pod nosem, lecz w końcu wzięła się do roboty i zrobiła mi nowy worek całkiem podobny do poprzedniego.

Codziennie o zmroku, z łaciatym workiem zarzuconym na plecy, szedłem krętymi uliczkami miasteczka podążając w stronę zniszczonej wojną bożnicy. Mijając kościół katolicki, zatrzymywałem się na chwilę. Wchodziłem do środka i szepcząc pobożnie pacierz napełniałem święconą wodą kieszenie, smarowałem nią twarz, ręce i szyję, moczyłem w niej chusteczkę i wlewałem ją także do pustej butelki po wódce. Tak zabezpieczony przed złymi duchami wkraczałem w mrok żydowskiego miasta, aby szukać złota. Ale na żydowskim mieście coraz trudniej było coś znaleźć.

Którejś nocy, ciemnej i bezksiężycowej, gdy całe miasto przyprószone było jakby sadzą, usłyszałem strzał. Od razu rzuciłem się na ziemię, bo huknęło blisko, zaraz koło mnie, w sąsiednich ruinach. Przytulając głowę do zimnych cegieł, czekałem. Postanowiłem uciekać, jeśli strzał się powtórzy. Unosząc nieco głowę i wpatrując się w ciemność, nasłuchiwałem. Wokół jednak panowała cisza. Trwała tak przez minutę lub dwie i pękła raptem przerwana krzykiem. Huknęło i tamten przestał wołać, umilkł.

Poderwałem się z ziemi. Bezpieczniej będzie stąd odejść — pomyślałem. Zaledwie jednak zdążyłem się poruszyć, zaledwie postąpiłem krok naprzód, musiałem stanąć. Drżącą dłonią wyciągnąłem z kieszeni butelkę napełnioną święconą wodą. Odkorowałem ją, decydując się błyskawicznie, że prysnę mu w ślepia, najlepiej prosto w ślepia, bo jak zły, to zniknie rozpływając się niczym mgła.

Siknąłem ostro. Wielki, czarny cień skurczył się i zmalał.

— Cholera... — zaklął. — Jasna cholera! Stój! Ręce do góry!

Ostrożnie postawiłem na ziemi pół litra święconej wody uważając przy tym, żeby się nie rozlała. To jednak nie był duch. Przeklinał bowiem i chciał strzelać. Posłusznie uniosłem ręce.

— Kto tam?

— Ja...

Błysnęła latarka. Mdła struga światła przepłynęła po mojej twarzy. Zamknąłem oczy i ocknąłem się dopiero wtedy, gdy dostałem w ucho. Zabolało, ale czując ten ból wiedziałem, że żyję.

— Kawały ci w głowie...

— Nie. Żadne kawały, proszę pana, tylko że ja...

Syknąłem, zaciskając kurczowo wargi, aby nie krzyczeć. Tamten palce miał mocne. Gdy skręcał nimi moje ucho, łzy napływały do oczu i ciekły po twarzy, choć wcale nie chciałem płakać.

— Wybiję ci ze łba głupie pomysły!

— Niech pan puści — poprosiłem. — Już nie będę...

— Czym lałeś? — zapytał nerwowo. — Co to było? Kwas...

— Nie, woda.

— Myślałem, że kwas — odetchnął z ulgą. — Kwas jest najgorszy, bo wypala oczy. Co ty mówiłeś, że masz wodę...

— Tak, proszę pana, święconą.

— Dawaj ją tu!

W bladym świetle latarki ujrzałem postać mężczyzny, pochylającego się nad swoją nogą, obrzmiałą i sztywną.

— Widzisz?

Klęknąłem koło niego i odsunąłem się prędko, bo spostrzegłem krew, ciemną już, krzepnącą.

— Myj! — rzekł mężczyzna. — Myj szybko, bo nie chcę dostać gangreny.

Zawahałem się...

— Na co czekasz? — wrzasnął. — Słyszysz, co mówię... Myj! Gdzie jest ta woda?

— To święcona, proszę pana. Nie można nią, nie wolno, bo będzie grzech!

— Jaki tam znowu grzech?

— Śmiertelny.

Zaśmiał się cicho.

— Ja też jestem śmiertelny — powiedział szeptem. Głos mu nagle zadrżał i zmiękł. Ale potem rozzłościł się nie wiadomo dlaczego. — Rób co ci każę, bo zabiję! — krzyknął. — Święcona nie święcona, wszystko jedno jaka jest, byle była... Myj i nic mi tu nie gadaj, żebym cię nie musiał uspokoić.

Pochyliłem się nad jego nogą. Oddarłem od niej spodnie, które przykleiły się do ciała. Wilgotną chusteczką dotknąłem ostrożnie ciemnej plamy. Mężczyzna syczał z bólu. Później, kiedy starałem się zrobić mu opatrunek, machnął ręką:

— Dobra jest, wystarczy. I tak już mniej boli niż przedtem. Chodźmy, chłopak, bo szkoda czasu!

Wspierając się na moim ramieniu, zaczął iść. Po raz pierwszy od wielu dni i nocy nie odczuwałem strachu. Trzymałem mężczyznę mocno za rękę. Jego palce były ciepłe i trochę spocone. Latarka, którą zapaliliśmy, rzucała snop światła. W jej blasku minęliśmy spaloną bożnicę i gruzowiska domów. Dopiero pod najbliższą latarnią przypomniałem sobie o worku.

— Mój worek! — krzyknąłem, wyrywając gwałtownie rękę z uścisku jego dłoni. — Zostawiłem tam worek, proszę pana...

— To wróć, jeśli chcesz.

Obejrzałem się za siebie. Żydowskie miasto jakby spało. Szkielet bożnicy, postrzępionej odłamkami pocisków, wbił się ostro w granatowe niebo. Było cicho i spokojnie.

Chyba wrócę — pomyślałem. — Szkoda przecież worka i babka się zdenerwuje... Spojrzałem na mężczyznę. Nie czekał na mnie, oddalając się coraz bardziej.

— Dobranoc panu! — zawołałem.

— Dobranoc.

Cofnąłem się w mrok. Zaledwie jednak wyszedłem poza krąg światła ulicznej latarni, rozległ się strzał. Zadrżałem. Znowu to samo. Kiedy to się skończy, kiedy wreszcie przestaną strzelać... Zacząłem uciekać. Przede mną biegł, kuśtykając niezdarnie na jednej nodze, mężczyzna, którego spotkałem wśród gruzów.

— Nie oglądaj się poza siebie! — krzyczał. — Pluj na ten worek, gówniarzu, zapomnij o tym worku, uciekaj!

Posłuchałem jego rady, ale nawet teraz, kiedy przechodzę przez skwer, gdzie dawniej stała bożnica, nie lubię się tutaj długo zatrzymywać, choć Kulawy kiwa na mnie ręką.

— Piwo mam świeże — mówi. — Właśnie przywieźli.

Piję. Kulawy, nachylony nad moim uchem, szepce tajemniczo i tak cicho, aby nikt więcej nie usłyszał.

— Przeżyliśmy, młodzieńcze...

— Tak — mówię, spijając piankę z piwa. — Oczywiście.

Kulawy mruczy:

— Były czasy, panie tego, były... Nalać jeszcze?

— Dziękuję.

Odstawiam kufel i patrzę. Czasem wydaje mi się, że zobaczę przed sobą szkielet bożnicy i gruzy spalonych domów. Czasem spoglądam pod nogi, aby nie kopnąć czyjejś czaszki.

Po żółtym żwirze alei toczy się coś okrągłego.

— Oddaj mi moją piłkę! — woła dziecko. — To moja piłka, a nie twoja. Oddaj, bo cię zabiję albo uszczypnę!

Uśmiecham się. Kulawy kiwa mi ręką.

— Do zobaczenia! Kiedy pan znowu zajrzy?

— Może pojutrze — mówię. — Będę się starał pojutrze, ale tak na pewno to nie wiem, bo rozumie pan, jak to jest w życiu...

Kulawy potakuje:

— Tak — mówi. — Pewnie, że rozumiem. Tak, tak...

Kłaniam mu się nisko i ruszam wolno przed siebie. Mijam zielone trawniki, chuderlawe drzewka szumiące młodymi listkami i ławki, na których siedzą chłopcy i dziewczyny, czekający na zmrok. Choć nie oglądam się już poza siebie, idąc wciąż naprzód i rozmyślając o rzeczach najróżniejszych, ciągle prześladuje mnie natrętny krzyk dziecka:

— Oddaj mi moją piłkę! Oddaj, bo cię uszczypnę albo zabiję...

**Adam Janusz Bień**

# Listy do KAMENY

## Jeszcze w kwestii kowboja

Solidaryzuję się ze szlachetnymi intencjami jakie przyświecały autorowi artykuliku „Nie gloryfikujmy kowboja" („Kamena" 1966, nr 20), choć sądzę, że przynajmniej na jedną z poruszanych tam spraw właściwiej byłoby spojrzeć z innego punku widzenia, niż czyni o M. Karpowski.

Rezultaty oglądania filmów kowbojskich upatruje autor we wzroście wybryków młodzieży. Rzecz trudna do stwierdzenia, a ponadto nie tu tkwi zasadniczy problem. Posuwając się bowiem w tym kierunku, należałoby potępić nie tylko westernowe kopniaki i mordobicia, ale również — w jakiejkolwiek sztuce przedstawiającej — sceny, gdzie pije się wódkę, pali papierosy, używa się brzydkich słów, zdradza się żonę etc., zaś z wyświetlanego ostatnio w Polsce filmu Godarda trzeba by wyciąć momenty, w których Bardotka pokazuje wcale zresztą interesującą i dobrze fotografowaną... pupę, bo może 18-letnie dziewczyny zechciałyby czynić to samo lub konsekwentnie coś jeszcze gorszego.

Tymczasem film czy książka są dobre lub źle-bynajmniej nie ze względu na sam fakt istnienia takich scen. Należy uczyć społeczeństwo (a przede wszystkim młodzież) rozumienia syntetycznego i częściowo umownego charakteru najbardziej nawet realistycznego dzieła sztuki, którego poszczególne elementy tworzą shierarchizowaną strukturę, w całości będącą nośnikiem nadrzędnych walorów ideowych i estetycznych (a tych w sensie dodatnim — bez względu na to, czy, w obrębie porządku genetycznego, realizatorom „chodziło o pieniądze" — trudno odmówić najlepszym westernom, jakie przewinęły się przez nasze ekrany: „W samo południe", „Rio Bravo", „Ostatni kowboj" itd.).

Nie widzę tutaj innej drogi, jeśli nie chce się z faktów niewłaściwego odbioru filmu czy książki, i ubocznych tego skutków, wyprowadzać w konsekwencji postulatów ograniczenia, uproszczenia lub w ogóle dyskryminacji sztuki w zakresie takich czy innych jej składników.

MP

## Rozmowa z Janem Kasprowiczem

Niedawno przeczytałam książkę p. Anny Kasprowicz-Jarockiej o życiu jej Ojca. Przypomniałam sobie wtedy moje spotkanie z Nim i Jego wypowiedź o Stanisławie Wyspiańskim. Napisałam o tym do pani Jarockiej, a ona upoważniła mnie do podania rozmowy do publicznej wiadomości.

W roku 1909 byłam z moją rodziną na wakacjach w Poroninie. Mieszkaliśmy w najbliższym sąsiedztwie Kasprowicza, obie wille należały do tego samego gospodarza, Marduły. Gospodarz zaprosił nas na chrzciny swojego syna, Franka, ojcem chrzestnym był Jan Kasprowicz. Podczas przyjęcia Kasprowicz wdał się ze mną w rozmowę, pytając, czym się zajmuję. Dowiedziawszy się, że przechodzę na trzeci rok studiów przyrodniczych na Uniwersytecie Jagiellońskim, powiedział: „Pani jest przyrodniczką, w takim razie dojdzie pani do metafizyki". Nie tajęże byłam bardzo zdumiona. Kasprowicz tłumaczył: „Wiadomo, że jest siedem kolorów tęczy, ale przecież jest i ósmy, pozafiołkowy, którego bezpośrednio nie widzimy. Zdrowie ósmego koloru tęczy! Ale przecież jest także pozaczerwony kolor, zdrowie dziewiątego koloru tęczy! A może istnieje dziesiąty kolor, którego nie umiemy dostrzec, zdrowie dziesiątego koloru!" W ten sposób doszedł do kilkunastu kolorów tęczy! Rozmowa, nie wiem już w związku z czym, zeszła na Wyspiańskiego i wtedy Kasprowicz powiedział: „Wyspiański to wielki człowiek, choć mały poeta, ale być może poeta przyszłości, który tchnie przemawiać z duszy do duszy, bez pośrednictwa słów".

Ta wypowiedź Kasprowicza wbiła mi się w pamięć dokładnie i choć minęło tyle lat, jestem pewna, że nic w niej nie zmieniłam. Sądzę, że jest ona bardzo zajmująca, choćby ze względu na dyskusję, jaka według słów pani Jarockiej toczy się na temat stosunku Jana Kasprowicza do Stanisława Wyspiańskiego. Z tego względu uważałam za wskazane podzielić się tą rozmową z czytelnikami „Kameny".

LAURA KAUFMAN

## Po co to pobłażanie?

Jestem konduktorem rewizyjnym PKP i z tego względu większość czasu spędzam w pociągach. Poznałem wielu ludzi i byłem w różnych sytuacjach, nie zawsze przyjemnych, kiedy to trzeba było wlepić mandat niejednemu pasażerowi, wykorzystującemu państwowy środek lokomocji niezgodnie z właściwymi przepisami. Nie oni jednak, ci jeżdżący „na gapę", są największym utrapieniem służby kolejowej, ale przede wszystkim żebracy.

Przeczytałem właśnie w „Kamenie" artykuł „Dziennikarz w łachmanach", który napisany przez Jacka traktuje o reportażu p. Michała Bucikiewicza zamieszczonym w piśmie „Argumenty" pod tytułem „Byłem żebrakiem". Pan Jacek krytykując ten reportaż pisze, że „zdarzają się jednak osoby prawdziwie biedne, którym po prostu nie powiodło się w życiu, a żebranie jest dla nich — oczywiście chwilowo — smutną koniecznością". Chciałbym więc wyjaśnić, że na kolei nie ma takich „żebraków", lecz są cwaniacy, który udają inwalidów bez ręki czy nogi, ubierają się w mundury wojskowe i żerują na ludzkich uczuciach. Za wyżebrane pieniądze piją wódkę i nic innego nie robią, tylko rozrabiają. Są tak zorganizowani, że mają wydzielone linie, na których „pracują". Zdarzają się też prawdziwi inwalidzi, którzy zamiast szukać zatrudnienia w specjalnych spółdzielniach wolą włóczyć się po kraju i wyciągać ręce po pieniądze. Nie powinniśmy tego usprawiedliwiać, bo jest to społeczne zło.

WOJCIECH MARKIEWICZ

# od BIEBRZY po BIESZCZADY

### BIAŁYSTOK

◆ 3 stycznia minęła dziesiąta rocznica powstania ZMW na Białostocczyźnie. Na czele Komitetu Organizacyjnego ZMW stanął wówczas Witold Mikulski, obecnie sekretarz KW PZPR.

◆ W Białymstoku odbyła się wojewódzka narada dziewcząt ZMW. Omawiano rolę i zadania młodych kobiet wiejskich w życiu społeczno-politycznym i zawodowym wsi białostockiej.

◆ Białostockie Towarzystwo Fotograficzne, mimo braku stałego lokalu, coraz bardziej rozwija się i obecnie liczy już 60 członków. W ubiegłym roku Towarzystwo zorganizowało 4 wystawy.

◆ W Mońkach otwarto Dom Oficera Rezerwy, wybudowany w czynie społecznym. Koszt obiektu: 588 tys. zł. Oprócz Klubu Oficerów Rezerwy znalazły w nim pomieszczenie kluby: modelarski, motorowy i łączności a także biura miejscowej LOK.

◆ W 1966 r. Teatr im. Al. Węgierki w Białymstoku dał 509 spektakli 15 sztuk. Liczba premier w Państwowym Teatrze Lalek „Swierszcz" nie zwiększyła się, natomiast w porównaniu z rokiem 1965 liczba przedstawień wzrosła o jedną trzecią. Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Imprez Estradowych zorganizowało 1138 imprez. Na zakończenie mikroremanentu w kulturze — kinematografia. W ciągu roku liczba widzów w kinach wojewódzkich spadła o ponad 400 tysięcy.

### KIELCE

◆ W siedzibie Prezydium WRN odbyło się spotkanie przedstawicieli władz województwa kieleckiego z przedstawicielami Rady Okręgowej ZSP w Lublinie. M. in. omawiano zakres i ilość prac magisterskich związanych z Kielczyzną, działalność „Koła Kielczan" przy RO ZSP. Prowadzono rozmowy dotyczące powstania w Kielcach filii lubelskiej Wyższej Szkoły Rolniczej.

◆ Kielecki kabaret „Yeti", którego reżyserem jest kielecki dziennikarz red. W. Barański, wystąpił z programem — „Dżygitówka, czyli piosenki znad Wołgi". Melodie rosyjskie i radzieckie, teksty własne.

◆ Kilkunastu plastyków kieleckich odwiedziło koła ZMW w „głębokim terenie". Efekt tych wyjazdów to szereg obrazów, które znalazły się następnie na wystawie w warszawskim „Domu Chłopa".

◆ 150-osobowa grupa łódzkich studentów przebywała w Cheninach na zgrupowaniu zimowym obozów ZMS-owskich. Obozy miały charakter szkoleniowo-wypoczynkowy. W Pińczowie natomiast zorganizowano obóz szkoleniowo-wypoczynkowy studentów krakowskiej WSP.

### LUBLIN

◆ Lubelszczyzna gościła delegacje przygranicznych obwodów Związku Radzieckiego i sąsiadujących z nimi województw Polski. Gospodarze i goście obradowali na konferencji poświęconej omówieniu dalszych form i kierunków kontynuowanej od 19 lat przygranicznej współpracy.

◆ Lublin wkroczył w jubileuszowy (650) rok swego istnienia jako miasta. Miłym wstępem do rozpoczynających się obchodów było otwarcie w dniu 2 stycznia nowej filii Biblioteki im. Łopacińskiego. Na marginesie: takich filii powinno być w mieście ok. 30, a jest zaledwie 17.

◆ Od 1 stycznia działa w Lublinie Oddział Centralnej Agencji Fotograficznej. Jest to pierwsza tego rodzaju placówka poza Warszawą. Za pośrednictwem tzw. „telefoto" (aparatu do przesyłania zdjęć na odległość) Lublin uzyskał łączność fotograficzną — przez sieć „Fotofaxu" — z wszystkimi ważniejszymi agencjami na świecie.

◆ W bieżącym roku lubelski ośrodek akademicki wzbogaci się o jeszcze jeden kierunek studiów. Będzie to wydział ekonomiki przemysłu UMCS.

◆ W Łukowie zostanie wkrótce otwarte muzeum regionalne. Będzie się ono mieścić w budynku dawnego konwiktu Szaniawskich.

### RZESZÓW

◆ W Rzeszowie odbyła się uroczysta sesja Powiatowego Komitetu FJN i Powiatowej Rady Narodowej podsumowująca m. in. dorobek społeczno-kulturalny powiatu rzeszowskiego w okresie obchodów Tysiąclecia. W ciągu ostatnich 6 lat wzniesiono tutaj 19 gmachów szkolnych i 4 domy nauczyciela (w budowie — 9 szkół i 3 domy nauczyciela), wybudowano 22 obiekty kulturalne (11 dalszych w budowie).

◆ Państwowa Orkiestra Symfoniczna w Rzeszowie została przemianowana na Państwową Filharmonię im. Artura Malawskiego.

◆ W okresie świąt do Bieszczadów przyjechała rekordowa liczba tyrystów. Niestety, nie wszystkie miejscowości przygotowały się do sezonu zimowego. Schroniska PTTK w Ustrzykach Górnych i Wetlinie były nieczynne.

◆ Zamek do wynajęcia — w Nozdrzcu (pow. Brzozów). Miejscowa Gminna Spółdzielnia SCh, która dotychczas była jego użytkownikiem, zamierza odstąpić zamek na punkt wypoczynkowy jakiemuś dużemu (i bogatemu) przedsiębiorstwu.

# Kwartalniki Rzeszowa i Radomia

STOSUNKOWO młode, lecz coraz liczniejsze środowiska naukowe i twórcze Rzeszowszczyzny ujawniają swoją działalność w różnych formach, na różnych płaszczyznach życia społecznego. Zrozumiałe, że z chwilą pojawienia się „Kwartalnika Rzeszowskiego" środowiska te uzyskały dodatkową okazję do prezentacji swojego dorobku, z czego, oczywiście, w pełni skorzystały. W rezultacie „Kwartalnik" zawiera rozprawy i artykuły o zaskakująco odmiennej problematyce: historycznej, etnograficznej, pedagogicznej, socjologicznej, poświęcone literaturze i plastyce oraz samoistnej twórczości poetyckiej czy prozatorskiej; znalazło się też miejsce na reprodukcje malarstwa i grafiki rzeszowskich plastyków, na recenzje i kronikę ważniejszych wydarzeń województwa. Wszystko to na około 120 stronach druku! Mozaikę zagadnień i tematów wiąże tylko jedna zasada: materiały publikowane dotyczą w mniejszym lub większym stopniu Rzeszowszczyzny, choć zdarzają się odstępstwa od tak zakreślonego profilu.

Z numer „Kwartalnika" otwierają fragmenty z wprowadzenia do dyskusji, które wygłosił sekretarz KW PZPR tow. Stanisław Ryba podczas Plenum Komitetu Wojewódzkiego, poświęconego „Nowym kierunkom w pracy dydaktycznej i polityczno-wychowawczej na tle reformy szkolnictwa w województwie rzeszowskim". Ta ciekawa wypowiedź zawiera wiele trafnych i dających dużo do myślenia sformułowań i sądów, które warto, aby utkwiły w świadomości adresata — czyli nas wszystkich, odpowiedzialnych za kształtowanie postaw moralnych i ideowych młodzieży. Albowiem nie można przeoczyć zjawiska, że „młodzież nasza nie krytykuje założeń ideowych socjalizmu. Krytykuje natomiast złą realizację tych założeń, po prostu złą robotę, jaką widzi w życiu. Jest szczególnie wrażliwa na stosunki międzyludzkie, na niezgodność słowa i czynu, głoszonej teorii z praktyką".

Ponadto „Kwartalnik" zawiera jeszcze kilka pozycji związanych ze szkolnictwem; wprowadzana właśnie w życie reforma szkolnictwa, wydarzenie na pewno przełomowe, wyjaśnia więc intencje redakcji. Szczególnie ciekawy jest artykuł Józefa Olczaka „Z badań nad postawami młodzieży studenckiej", który na podstawie analizy socjologicznej wypowiedzi 185 studentów 1 roku Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie daje konkretne dowody na prawdziwość przytoczonego powyżej cytatu. Na pytanie o rezultat rywalizacji ustrojów socjalistycznego i kapitalistycznego „Ponad 75 proc. badanych bez wahania szanse zwycięstwa przyznaje socjalizmowi, około 22 proc. nie zajęło w tej sprawie stanowiska, a tylko zaledwie 2 osoby większą szansę przyznają pod tym względem ustrojowi kapitalistycznemu".

Dział materiałów wypełniają szkic Jerzego Jarowieckiego „Eugeniusz Kolanko — poeta konspiracji" oraz wybór wierszy tego twórcy, zamordowanego przez hitlerowców 27 maja 1944 roku w Krakowie. Kolanko, krośnian z pochodzenia, był autorem słynnego akrostychu, wydrukowanego w gadzinowym „Ilustrowanym Kurierze Polskim" w styczniu 1943 r., który niewinnie satyryczny, odczytany według pierwszych liter poszczególnych wersetów przemycał hasło: Polacy Sikorski działa.

W dziale twórczości zainteresowany czytelnik znajdzie wiersze i krótkie omówienie dorobku poetyckiego Wiesława Koszeli oraz opowiadanie Adama Janusza Bienia, poprzedzone słowami Stefana Otwinowskiego: „Czytałem próby literackie Bienia. Są obiecujące. Już dziś można mówić, że proza tego pisarza z Przemyśla przesycona jest klimatem niewielkiego miasta i ma charakter autentyczny. Więcej jest w tej prozie obserwacji aniżeli w opowiadaniach zaawansowanych beletrystów z miast największych".

* * *

Biorąc do ręki zeszyt 2 tomu III „Biuletynu Kwartalnego Radomskiego Towarzystwa Naukowego" odczuwam, jak zwykle w zetknięciu się z tym wydawnictwem, coś na kształt podziwu zmieszanego z zażenowaniem. Niewątpliwie dynamiczne i wszechstronne w swej działalności RTN, grupujące ciekawych ludzi, zdolnych do opracowania wartościowych i w pewnym sensie pionierskich monografii jak „Rozwój Radomia 1945—1964" lub mający ukazać się niedługo w Wydawnictwie Lubelskim „Przemysł Radomia", a zarazem chętnych do zorganizowania konkursu dla młodzieży szkół średnich na temat wielu zagadnień historycznego i współczesnego Radomia — to właśnie towarzystwo posiada tylko skromny, drukowany na powielaczu organ wydawniczy. Nie chodzi mi o to, aby „Biuletyn Kwartalny" drukować na kredowym papierze, wyszukaną czcionką itd. Chciałbym jedynie zwrócić uwagę, że szkoda, aby tak wartościowe artykuły i materiały źródłowe ukazywały się w formie, której strona techniczna pozostawia wiele do życzenia.

Trzy rozprawy zamieszczone w „Biuletynie Kwartalnym" — „Z dziejów reformacji w Radomskiem" Wacława Urbana, „Liceum Chałubińskiego w Radomiu" Marii Maj, „Emigracja zarobkowa z gub. radomskiej 1898—1914" Jana Bonieckiego — przynoszą wiele faktów nie znanych dotychczas z publikacji. Wacław Urban w zakresie interesującego go zagadnienia wyjaśnia to w ten sposób: „Po reformacji w Radomskiem ocalały jedynie legenda i skąpe resztki materialne. Według piszącego w połowie ub. stulecia ks. Józefa Gackiego okres rozwoju różnowierstwa pozostawił w tradycji ludu radomskiego tak głębokie ślady, iż jeszcze wtedy „wszystkie kościoły dawne, a zwłaszcza też murowane nieoświeceni „ariańskimi" nazywali mniemając, że je przed wieki powystawiali arianie, ludzie jacyś obcej wprawdzie religii, ale potężniejsi niż teraźniejszej naszej wiary plemię".

Interesujący numer „Biuletynu Kwartalnego" zamyka sprawozdanie z działalności RTN w r. 1965, bardzo szczegółowe, oraz komunikaty i korespondencja.

IJK

# Obraz jako inicjacja

(Ciąg dalszy na str. 7)

jętych od artystów, nie można uważać za metody, którymi teoria i krytyka sztuki może się posługiwać"... Pośrednio artysta przypomina humanistom ich — nie zawsze głośno wypowiadane — wątpliwości: czy nauki humanistyczne spełniają postulat naukowości? Czy zajmując się subiektywnym działaniem i jego rezultatem mogą w ogóle wypracować obiektywne kryteria, szczególnie w stosunku do całkowcie nowych struktur artystycznych? Przyznajemy jednak, że wobec ciągle rosnącej liczby publikacji z zakresu nauk humanistycznych wątpliwości te wyglądają na kokieterię.

Przytoczone tu sądy Pawłowskiego warto sobie przypomnieć podczas oglądania wystawy jego rzeźby, malarstwa, grafiki i fotogramów, która otwarta została 8 stycznia w salach lubelskiego BWA.

Osobiście najbardziej zainteresowały mnie obrazy: duże jasne płaszczyzny, zakłócone w pewnych odstępach ostrymi wypukłościami i liniami. Te akcenty, a mówiąc słowami Pawłowskiego — dyspozycje są notacją myśli, wrażeń, są inicjacją spektaklu wyobraźni, albowiem każda wypukłość będąca zaprzeczeniem płaszczyzny wchodzi z nią w dialog; jego kadencje i sens zależą od psychiki widza, który traktowany jest dzięki temu jako współtwórca. Odrębność ludzkich osobowości, kształtowanych przez cały zespół różnych czynników powoduje zarazem wielość obrazów: każdy z widzów jakby tworzy własny obraz oparty tylko na dyspozycjach płótna podpisanego nazwiskiem „Andrzej Pawłowski". Jest to możliwe dzięki powściągliwości formalnej tego malarstwa, braku jakiejkolwiek fabuły zastąpionej przez kształty — sygnały.

Pawłowski pokazał także kilka obrazów bardziej ekspresyjnych, o formach bliżej określonych i wewnętrznie zróżnicowanych, które mieszczą się przecież w ramach jego koncepcji sztuki. Na ich przykładzie warto tylko wyjaśnić nazwę wystawy: „Forma naturalnie ukształtowana". Dwie zasadnicze formy reprodukowanego płótna zostały wyznaczone przez stalowe taśmy przyłożone do powierzchni, których ślad zanotowano linią. Ta podstawowa dyspozycja kierowała dalszym procesem realizacji.

Kam

## KSIĄŻKI NADESŁANE
### Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza

Michał Rusinek „Prawo jesieni", „Igraszki nieba", wydanie IV, 1966;
Jan Bolesław Ożóg „Jemioła", wiersze, wydanie I, 1966;
Stanisław Helsztyński „Wśród swoich i obcych w USA", wydanie I, 1966;
Augustyn Suski, Utwory zebrane, poezje, opowiadania, artykuły, przedmowa Kazimierz Banach, wstęp i opracowanie Jan Szczawiej, wydanie I, 1966;
Kazimiera Zawistowicz-Adamska „Wincenty Pol — badacz kultury ludowej", wydanie I, 1966.

# przegląd PRASY

STEFAN KOZICKI pisał niedawno w „POLITYCE" o drodze do autorytetu, jaki chce uzyskać coraz liczniejsza prasa terenowa. Tą drogą jest po prostu wierność swojemu regionowi, sprawom, które powinno się objąć i krytyczne spojrzenie na to, co się wokół dzieje. Są już liczne przykłady, że w ten sposób można zrobić swoistą karierę, zyskać wysoką rangę ogólnopolską, nie przestając być wyrazem swojego środowiska. Miesięcznik „Odra", „Poglądy" — to przykłady pierwsze z brzegu. No i lubuskie „NADODRZE". Ma ono dobrą informację, pogłębioną publicystykę niemcoznawczą, ciekawy reportaż terenowy. Ziemia Lubuska jest niesłychanie interesująca jako miejsce rozmaitych zderzeń kulturowych, jako tygiel, gdzie latami mieszali się różni ludzie, narzecza, obyczaje. W sposób żywy pisze o tym **Ryszard Rowiński** w „Sadze o Białkowie". Do Białkowa przyjechało wiele rodzin z Polesia i z poziomu niezwykle prymitywnego znalazły się one na zupełnie innym piętrze cywilizacji. Przyzwyczajenie do starych nawyków nie mogło trwać jednak zbyt długo. Stare narzędzia odrzucono, piękne stroje ludowe spoczywają na dnie szaf, o ile nie uległy zniszczeniu. Giną stare, przywiezione z daleka słowa. Próba odtworzenia dla etnografów obrzędu poleskiego wesela miała coś z postępowania archeologa.

Procesy niwelacyjne i przyjęcie modelu kultury ogólnonarodowej są oczywiste i naturalne. Jak wszędzie tak i tu *„ambasadorami kultury ogólnonarodowej są gazety, audycje radiowe, geologowie szukający ropy naftowej, obdarowujący z okazji Barbórki wedlowską czekoladą, szybowiec, który przypadkowo ląduje na polu z lucerną, wycieczka autobusem do poznańskich muzeów (...). Żałować wypada, można, że nikomu nie udało się napisać eseju o kulturotwórczej funkcji autobusu komunikującego mieszkańców wsi z miastem".*

Oczywiście i w tamtych społecznościach odżywają czasem „podskórne" nurty wrogości i wyolbrzymionych przeciwieństw, o których w tym samym numerze pisma informuje Tadeusz Jasiński, ale integracja jest zjawiskiem tak zaawansowanym, że można już mówić o przewadze elementów wspólnych, jednoczących. Bez czego nie byłoby uzyskanych do tej pory sukcesów.

Do pism o profilu specjalnym należy „TYGODNIK MORSKI", który stara się czynić jak najwięcej, byśmy nie odwracali się, jak to niedawno określono, „tyłem do Bałtyku". Bo fakt, że jesteśmy państwem morskim, pozostaje na ogół poza świadomością większości społeczeństwa. A obchodzić powinny nas wszystkich nie tylko dlatego, że potrzebny nam jest od czasu do czasu jakiś śledzik.

„Tygodnik Morski" obejmuje szeroki wachlarz spraw związanych z morzem; ostatnio poruszył on sprawę spółdzielczości rybackiej artykułem **P. Kraaka** „O miejsce pod słońcem dla spółdzielczości rybackiej". Spółdzielczość ta zajmuje się nie tylko połowami, ale i bogatym asortymentowo przetwórstwem. Jej też zawdzięczamy wiele nowych, bardzo atrakcyjnych konserw, których produkcji nie chciały lub nie mogły podjąć się przedsiębiorstwa państwowe. Łączna wartość tego przetwórstwa wynosi w skali rocznej pół miliarda złotych!

Ale sytuacja spółdzielczości rybackiej jest jednak niewesoła. Najważniejsze dla niej są połowy, ale spółdzielnie mają sprzęt przestarzały, tak że połowy są deficytowe. Brak jest odpowiednio wyposażonych portów dla flotylli, nie ma inwestycji towarzyszących. A wyznaczane z góry zadania i plany rosną. System cen też nie zapewnia opłacalności. Pogarszająca się sytuacja spółdzielczego rybactwa powoduje odpływ ludzi, a to z kolei nowe trudności. Jakie jest wyjście? — pyta autor. *„Czy strawestować znane powiedzenie Galczyńskiego — „skumbrie w tomacie, skumbrie w tomacie, chcieliście spółdzielczość — to ją macie"... czy też głęboko zastanowić się nad rolą i miejscem spółdzielczości rybackiej, powiedzieć sobie wyraźnie, że jej miejsce jest na Bałtyku i że trzeba jej stworzyć warunki, by mogła istnieć działać, zarabiać i spełniać pożyteczną rolę dla naszej gospodarki narodowej".*

Jak się okazuje, los spółdzielczości jest podobny wszędzie; na naszym gruncie obserwujemy go czasem na przykładzie spółdzielczości ogrodniczej, od której wymaga się wiele i atakuje w momencie urodzaju i nieurodzaju, ale nie znajdzie się dla niej odpowiedniej pomocy, jakiej potrzebuje.

I tak wracamy do spraw bliższych zwykle tej rubryce. Warto zwrócić uwagę na bogaty serwis materiałów dotyczących wschodnich województw, jakie znalazły się na łamach „POLITYKI" **Adolf Jakubowicz** drukuje „Powrót" — ciekawy reportaż o sprawach osadniczych w Bieszczadach. **Janusz Rolicki** pisze o „dobrych wujkach", którzy dla różnych powodów patronują z góry rozmaitym inicjatywom terenowym. Na ogół jest to działalność pożyteczna; że jednak nie zawsze tak jest, dowodzi reportaż Rolickiego z rzeszowskiego. Morał jest zresztą ogólniejszy: chodzi o to, by *„dla pochopnych, nie przemyślanych obietnic, wojewódzkich zapędów przy okazji wznoszenia szkoły, zakładu, łamiąc przepisy nie budowano sobie pomnika. By nie narażano na szwank autorytetu władzy."*

A że szukanie wujka jest czasem zwykłą koniecznością, to inna rzecz. Niekiedy tylko na tej drodze można uzyskać jakieś kredyty, możliwości aktywizacji, pomoc zwierzchnich władz. Potrzebny jest w tym celu odpowiedni pertekst, który należy wygrać propagandowo. Tak umieją robić w Chełmie, jak dowodzi **Aleksander Paszyński** w reportażu „Chełmskie podziemie", drukowanym w tejże „Polityce". To zresztą wcale źle o chełmianach nie świadczy, że umieją chodzić koło swoich interesów. Przeciwnie.

T. K.


## »KAMENA«

**Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: Mirosław Derecki (redaktor techniczny) i Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyki).**

**Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.**

**Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.**

**Adres redakcji Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49**

Zam. 149. 9.1.67. P-3.

MINUTA MYŚLENIA

# „Inco" i pasta

ZAUWAŻYŁEM, że mojej brązowej pary obuwia nie mogę się dozyścić. Początkowo kładłem to na karb pośpiechu, który jest przekleństwem naszej epoki, ale kiedy nawet dołożyłem czasu i starań, ale stwierdziłem żadnych dodatnich skutków na skórze moich półbutów. Pozostało przyczynę przypisać niskiej jakości pasty używanej do tych czynności, co było tym bardziej prawdopodobne, że szczoteczka do smarowania zmieniła się w kawałek stężenej materii w niczym nie przypominającej włosia oprawionego w drewno. „Kiepska pasta, trzeba ją zmienić" — podszepnął mi wrodzony instynkt kojarzenia zjawisk. Jakież jednak było moje zdumienie, kiedy na pudełku ujrzałem napis:

PLASTIK — BUWI
luksusowa pasta do obuwia

Przez dwadzieścia dwa lata bumelanctwa i partactwa chronionego miękkim sercem Polski Ludowej przyzwyczaiłem się do różnych metafor w nazwach naszych przedmiotów codziennego użytku, ale takiej piętrowej super-przenośni dawno już nie spotkałem. W pudełku jakaś maź, od której nie wiem czy piastowskie osie by nie stężały, a w nazwie owe rozkosznie filuterne „BUWI" oraz przymiotnik w najlepsze wywołujący wymagające imię luksusu.

Bardzo przepraszam szanowne i nie małej luksusowe centralne zarządy, departamenty, komisje, ale sprawa przestaje dotyczyć zaopatrzenia w wytwory drobnego przemysłu, a staje się wykładnikiem grubego oszustwa dokonywanego permanentnie w stosunku do naiwnych obywateli PRL. Ja — jednostka, indywidualność, kropla w społecznym morzu, mogę kupić inną pastę, mogę nosić czarne półbuty, mogę w ogóle ich nie czyścić, ale gdzie powaga i autorytet wytwórni (w tym wypadku jakiś „Inco" (Kraków), która jak każda instytucja publiczna liczy w swym gronie ludzi podlegających społecznej kontroli. I właściwie gdzie ta kontrola, skoro w konsekwencji do mojego użytkowania dochodzi produkt tak się mający do swego przeznaczenia, jak okupacyjna sacharyna do cukru. Od wojny prawie już ćwierćwiecze. Czy dalej mam podejrzewać, że jakiś kanciarz mleko rozcieńcza wodą, masło fałszuje margaryną, a alkohol karbidem? Gdzie granice społecznej cierpliwości? Co jeszcze temu społeczeństwu mogą „sprytciarze" sprzedać pod etykietką luksusowej pasty z jedną jedyną reakcją nie usłyszanego felietonisty?

Pytania, pytania, pytania. Już nie o pastę chodzi. Pamiętam kiedyś rozplakatowany z wyzwoleniem wiersz Tuwima pt. „Modlitwa", a w nim fragment:

„A nade wszystko słowom naszym
zmienionym chytrze przez krętaczy
jedność przywróć i prawdziwość
Niech prawo zawsze prawo znaczy,
a sprawiedliwość — sprawiedliwość...

Myślałem, że to Tuwim coś przefilozofował, że nie można się spierać o tautologię. Na przykładzie krakowskiego specyfiku mam błotnisto na brązowym do jakiego stopnia sygnat może rozmijać się z desygnatem. I wszystko w eleganckim opakowaniu rozumianym tylko w sensie materialnym jako blaszane pudełko, w przenośnym — jako lisia chytrość partaczy tolerowana obojętnością użytkowników.

Ale zaraz. Przeciwko czemu ja tak rozpaczliwie występuję? Naiwny. Przecież krakowskie „Inco" zaprezentowało mi metodę, że tylko brać przykład. W myśl powyższego —

Szanowny Panie Redaktorze, jak widzi Pan, w tym tygodniu zamiast skromnego felietonu składam w ręce Pańskie rozprawę naukową. Myślę, że należycie zostanie to uwzględnione przy honorariach.

Szczerze oddany

Ijon

BIG-BEAT

# Może do Londynu?

PANIE Redaktorze! Wielka prośba do Pana: może i moje felietony zacznie „Kamena" zamieszczać w skradzionej „Szpilkom" rubryczce o dźwięcznej nazwie „Hyde-Park"? Mógłbym wówczas bez żadnej żenady napsioczyć na... O właśnie: na co?

Lubelską prasę już dostatecznie poganiłem, później pochwaliłem „Kurier" za jakiś tam artykuł i już otrzymałem list od anonimowego czytelnika, który pisze: „Podlizujesz się, Jacku, red. Gnotowi, bo zapewne zamierzasz ze swoimi trzema groszami wcisnąć się na łamy „Kurierka".

Zastanowiły mnie te słowa, a zarzut nawet zabolał, ale w naszym mieście tak już jest: ganisz — nikogo to nie obchodzi, zainteresowani udają, że ich krytyka nie dotyczy, a gdy chwalisz — wszyscy zastanawiają się, dlaczego? Jaki on miał w tym interes?

Drogi Anonimie: zapewniam Cię, że w danym (w innym, kto wie...) wypadku wyrażałem bardzo szczerą opinię. Myślę również, że jeszcze nieraz szczerze pokłócę się z tym dziennikiem, a Pan Redaktor — choć go do Komitetu Obchodu 10-lecia „Kuriera" powołali — nie będzie przy adiustacji moich felietonów nadużywał długopisu czy ołówka.

Przeglądając zszywkę tego pisma za rok ubiegły spostrzegłem w n-rze z 9 listopada informację pt. „W zaułku paradoksów. O czymże tu dumać na lubelskim bruku". W owej informacji przeczytałem m. in.: „Filharmonia raczy melomanów jednym, jedynym koncertem symfonicznym. Całe szczęście, że przez parę dni bawił u nas cyrk". Niby nic nadzwyczajnego. Filharmonia nie należy w naszym mieście do tabu. Zdumiałem się jednak, gdy obok, na tej samej stronie, spostrzegłem wielgachny tytuł sporej notatki: „Ambitny program F.L." Co to za skrót? Front Ludowy? Fundacja Lichodziejewskiego? (Niby Kwaterunek). Nic z tych rzeczy. F.L. to Filharmonia Lubelska. Rzeczywiście dział miejski „Kurjera" znalazł się w zaułku paradoksów!

A oto inny kwiatek z tej samej łączki. W numerze z 31 października „Kurier" gratulował pracownikom Wydziału Architektury Prez. MRN społecznej postawy za bezpłatne opracowanie dokumentacji projektu przebudowy muszli koncertowej w parku, a w n-rze z 3 listopada podał, iż Wydział Kultury Prez. WRN przeznaczył 20 tysięcy złotych na wykonanie tegoż projektu.

Nie wie lewica, co czyni prawica? Zanik pamięci pracownika odpowiedzialnego za stronę miejską?

Sprawy te nie są takie drobne, jakby zdawało się na pierwszy rzut oka. Bo można pofantazjować w felietonie, a kiedy czyni to red. Gnot w swoich „trzech groszach" wychodzi nawet jak niebujna rzeczywistość, ale nie wolno huśtać się w obłokach, w trakcie pisania informacji, którą rządzą specjalne prawa.

Napisałem te słowa i przeraziłem się. Mirosława Knorr znowu zauważy w kolejnej „sztandarowej" (prawda, jak wyszło dwuznacznie!) szopce, że zalatuje ode mnie piernikiem. Rzeczywiście: gwałtownie szybko starzeję się w trakcie codziennej lektury lubelskiej prasy. Nawet i „Kamena" zaczyna mnie już usypiać. Bronisław Rędzioch na połowie strony zanudzał mnie połowaniem. Cały czas czekałem: no, teraz już, no za chwilę coś się stanie, ktoś kogoś przez przypadek postrzeli. Gdzie tam! Na przyszłość niech Pan Redaktor drukując podobne opowiadania zaopatrzy je w podręczny słownik. Nie poluję i nie wiem, co to jest: ponowa, brenka czy buchtować?

Zalecałbym również większą selekcję materiałów do kamenowego dodatku „Ziemia i Pieśń". Jeśli to jest dodatek autonomiczny, może redagować go na zasadzie „Hyde-Parku"? Tu Panu Redaktorowi gotowa zadrżeć ręka. Błagam: proszę tego nie wykreślać, ja rzeczywiście trochę przesadzam. A poważnie: proszę częściej zapraszać na łamy „Kameny" Henryka Czarneckiego. Jego „Cień przyrośnięty do muru" („Kamena" nr 1), to rodzony, no — może przyrodni, brat telewizyjnego „Kabaretu starszych panów". Gdybym był na miejscu prezesa Sokorskiego nakazałbym to zaraz przerobić na scenariusz (oczywiście w porozumieniu z autorem, bo „Kamena" na pewno się zgodzi, jeśli TV powoła się na źródło...).

Mamo! Chwalą nas... Więc kończę, Panie Redaktorze. A może mógłby się Pan postarać o angielskie funty? Pojechałbym do Londynu, poszedł do prawdziwego Hyde-Parku i napsioczył sobie raz, ale dobrze. Nie usłyszałby tego wówczas ani Kazio Grześkowiak, ani Romcio Karaś, nie odpowiadałiby mi na łamach „Sztandaru" czy „Kuriera". Ale o czym pisałby wówczas Kazio Grześkowiak w swoich felietonach? Romcio Karaś jeździ chociaż do Puław i nad cichy Don, Kazio Grześkowiak tylko na Aleje Racławickie.

Panie Redaktorze, ściskam dłoń w nastroju podróżniczym...

Jacek

FELIETON Z REZERWY

# 2 bartki =1 wili

„FELIETON z rezerwy" — ów nadtytuł trzeba brać dosłownie. Po prostu każde pismo ma jakiś — lepszy czy gorszy — harmonogram dostarczania materiałów do drukarni. Redakcja stara się, aby pozycje najbardziej aktualne posyłać w ostatniej chwili. Z tego przywileju korzystają i nasi felietoniści. Zdarza się jednak niekiedy, że BAR, Ijon czy Jacek przynoszą swoje dzieło grubo po wyznaczonym terminie. Nie pomagają nasze telefony, upomnienia, a nawet zmniejszanie honorarium. W kilku przypadkach BAR-a i Ijona zastępowali koledzy. Nie jest to najlepsza praktyka, bo nadtytuł jest poniekąd własnością danego felietonisty. Rada w radę postanowiliśmy wymyśleć straszak na opieszałość i w taki sposób powstał ów „felieton z rezerwy". Zapraszamy do współpracy naszych czytelników: między Bugiem a Odrą nigdy nie było za wielu felietonistów. Może objawi się prawdziwy talent? Może „felieton z rezerwy" stanie się rubryką stałą?

Dziś z poczty redakcyjnej wyciągamy fragmenty wspomnień Kazimierza Niechody z Hajnówki, który tak pisze w liście: „Przez pewien czas byłem studentem. Ośmieliłem się przesłać do Redakcji moje wspomnienia z tego okresu, które oparłem na autentycznych faktach zmieniając tylko imiona i nazwiska".

Oto Jurek nie lubiący weterynarzy (pewien student weterynarii odbił mu dziewczynę) i... „urzędników". Ale oddajmy głos panu Niechodzie:

„Urzędnik to niekoniecznie biurowy „czynownik". „Urzędnik" to ktoś, kto ma telewizor, samochód i odpowiednie stanowisko. Na „urzędników" wynajduje Jureczek różne sposoby, choćby na przykład taki denaturat. A było to tak: zabarwiliśmy sokiem jagodowym wodę na kolor jasnego fioletu, tak, że barwą do złudzenia przypominała denaturat. Ową mieszaniną napełniliśmy czystą butelkę po denaturacie. Jadąc do Mietka do Warszawy poczekaliśmy, aż w przedziale zbierze się odpowiednie „urzędnicze" towarzystwo. A gdy się zebrało Jurek mrugnął do mnie i mówi głośno: — Może napijemy się czegoś, koleś? Mam tu pół „meterka" koniaku — i wyciąga ów „denaturat". W „urzędników" jakby grom strzelił. Wytrzeszczają oczy, o mało im z orbit nie wyskoczą. Jureczek zaś odbija szyjkę, napełnia pełną szklankę wypijając zawartość duszkiem. Potem oblizuje się z rozkoszą i czka. To przechodzi wytrzymałość starszej pani, która czerwieniąc się i blednąc, a także z lekka spluwając, pośpiesznie opuszcza przedział. „Urzędnik" w średnim wieku patrzy na niego z obrzydzeniem jak na karaczana. Ale to jeszcze za mało Jureczkowi, napełnia pół szklanki fioletowym płynem i częstuje „urzędnika" w starszym wieku, mówiąc uprzejmie: — Będzie nam niezmiernie przyjemnie jeżeli pan zechce napić się z nami... — Nie, nie — gwałtownie protestuje „urzędnik" zakrywając się drżącą ręką — dziękuję. Jestem chory i lekarz zabronił mi picia... denaturatu.

Jurek chce coś dodać, ale audytorium gwałtownie pustoszeje. Zostajemy sami, dusząc się ze śmiechu".

A oto inny kolega pana Niechody, Zenobek, znany jako autor tzw. tabeli inteligencji.

„Poniżej pewnej podstawy — głosi Zenobek — jest stan, który możemy określić, jako całkowity brak inteligencji. Podstawę, ów punkt od którego zaczyna się wszelka inteligencja, stanowi Bartek weterynarz, chłopisko duże i podobno niezmiernie durne. Właśnie 1 bartek jest najniższą jednostką inteligencji, 2 bartki dają większą jednostką inteligencji — równą 1 wilemu. Wili to właściwie poczciwy chłop, za pomocą łagodnej perswazji można z niego wiele uzyskać. Następna jednostka inteligencji to 1 feluchna, którą dzieli się na 2 wile i cztery bartki. Dopiero inteligencja równa 2 feluchnom daje inteligencję przeciętnego studenta".

Zenobek wsławił się pytaniem, jakie zadał oficerowi prowadzącemu studium wojskowe:

„Panie kapitanie — chciałem zwrócić uwagę, że słowo „nieprzyjaciel" użyte w celu określenia wroga jest niewłaściwe, ponieważ jak z samego brzmienia wynika, oznacza ono wszystkich nie będących przyjaciółmi, a powszechnie przecież wiadomo, że ktoś nie będący przyjacielem niekoniecznie musi być zaraz wrogiem..."

Nasi czytelnicy mogą teraz zapytać: panowie redaktorzy, może to i zabawne wspominki, ale przecież nie żaden felieton!

Z rezerwy, z rezerwy, kochani! I to jest jego najlepszą pointą...

MAR

# NOTY i notki

DYREKTORZY KILKUNASTU PLACÓWEK kulturalnych w woj. kieleckim otrzymali polecenie na piśmie, aby w związku z zakończeniem pierwszego Tysiąclecia złożyli sprawozdania z tego okresu. Tylko jeden miał odwagę napisać, że żyje dopiero 43 lata i że za poprzednie 957 lat nie może ponosić odpowiedzialności.

CO CZYNI LUDZI W POLSCE SZCZĘŚLIWYMI: stanowisko, wiedza, samochód, lodówka? Nic z tych rzeczy. „A ponieważ nazwał mnie dodatkowo paszkwilantem — szczęście moje nie ma granic. Ja to mówię całkiem serio" — wyznaje na łamach „Życia Warszawy" (12 stycznia) Wiesław Górnicki. Czy nasz znakomity korespondent z USA tak bardzo przesiąkł już amerykańskim stylem życia? Bo w Polsce za nazwanie paszkwilantem wyzywało się na pojedynek albo biło w...

A SWOJĄ DROGĄ należy pochwalić nowe niedzielne wydania zarówno „Trybuny Ludu" jak i „Życia Warszawy". Magazyny — ale w najlepszym rozumieniu tego słowa.

KIELECKIE „SŁOWO LUDU" reklamuje nowości „Radoskóru" aż na pierwszej stronie. Na fotografii całkiem wyraźna fotografia przystojnej dziewczyny, która trzyma w ręku ciemną plamę, przypominającą kształtem jakiś but. Ponieważ chodzi o reklamę — zapewne nowością jest dziewczyna. Tylko jak się ją produkuje: taśmowo czy w gniazdach obróbczych?

OTO DWIE TAJEMNICE do rozplątania przez handlowców. 11 stycznia „Kurier Lubelski" na podstawie informacji z przedsiębiorstwa „Warzywa-Owoce" napisał, że przedsiębiorstwo to posiada w Lublinie 580 ton ziemniaków, co starczy do wiosny. Następnego dnia w restauracji „Nadbystrzycka" podawano obiady tylko z makaronem lub chlebem, bo w „Warzywach-Owocach" zabrakło kartofli. I druga tajemnica: lubelska fabryka makaronów produkuje podobno 51 asortymentów, ale na stoisku fabrycznym jest tylko 7.

„JEST TO TWORCZOŚĆ typu emocjonalnego, oscylująca między abstrakcją, a jakimś ogólnie pojętym symbolem, wychodząca — zwłaszcza malarstwo — od bardzo tradycyjnego malarstwa ikonowego a przetworzona w abstrakcję" — wytłumaczył p. Robert Rogowski „ogólną orientację artystyczną" studenckiej grupy amatorów „Inops", a JAG podał (a?) to w nr 11 lubelskiego „Sztandaru Ludu" do publicznej wiadomości. Nie jesteśmy pewni, kto z kogo żartuje: pan(i) JAG z p. Rogowskiego, czy p. Rogowski z pana(i) JAG?

„MARYNARKA TO MĘSKA PRZYGODA" — głosi dumnie duży tytuł na 6 stronie tygodnika Marynarki Wojennej „Bandera". Tymczasem na 4 fotografiach wśród 14 postaci naliczyliśmy aż 7 uroczych dziewcząt. Albo redaktorom coś się pomyliło, albo marynarski zawód staje się coraz bardziej babski.

JEŚLI WIERZYĆ SYMPATYCZNEMU „ŻYCIU LITERACKIEMU" to krajowe życie literackie najlepiej rozwija się w czasie zagranicznych wojaży literatów. W numerze z 15 stycznia na str. 1 H. Vogler drukuje notatki z Bukaresztu, a J. Lovell kontynuuje podróż po Jugosławii, na str. 7 J. Hordyński relacjonuje spotkanie w Rzymie, a i fabuła opowiadania „Wycieczka" odbywa się na terenie NRF.

NASI RODACY NIE BARDZO DBAJĄ o swoje głowy, a w konsekwencji i o to, co się w nich znajduje. Jak niedawno ze zgrozą odkryła fabryka kapeluszy w Skoczowie, dorosły obywatel PRL kupuje nowy kapelusz równo co 10 lat. Na pociechę kapeluszników możemy z żalem dodać, że wnętrza niektórych głów nie udaje się zmienić nawet raz na 20 lat.

POD HASŁEM „SUROWCE WTÓRNE" zobaczyliśmy w „Dookoła świata" krzyżówkę zatytułowaną „mocne piwo". Po pierwsze sądzimy, że mocne piwo nie nadaje się dla młodzieży. Po drugie — jeżeli robi się je z surowców wtórnych a nie z chmielu, nic dziwnego, że to cienkusz o dziwnym zapachu. I to miała być reklama? (D)

## Poeta i laur

Rys. W. Fuglewicz

Z cyklu „Moje deklinacje"

## Bal maskowy

Zostałem zaproszony na bal maskowy.

Przyznaję, że wiele kłopotu miałem z dobraniem sobie odpowiedniej maski. Z wielkim trudem zacząłem wspominać swoje marzenia — od dzieciństwa aż do lat dojrzałych. Czym chciałem być? Więc najpierw chyba furmanem. Potem policjantem i kominiarzem. Potem, przez czas jakiś, Petrarką. Później lotnikiem, urzędnikiem skarbowym, Hemingway'em i milionerem.

Wreszcie jednak wdziałem na się maskę uczciwości.

„Bardzo nienaturalnie pan w tym wygląda", powiedziała mi pani B., kiedy wszedłem na balową salę. Ona była przebrana za kurtyzanę. Nie mogłem więc odpowiedzieć jej pięknem za nadobne: że jest nienaturalna. Podobnie było z prezesem Z., wystrojonym na łotra. Poruszał się po parkiecie bez cienia sztuczności.

W ogóle naturalność przebrań była zdumiewająca. Były zatem kumoszki, oczajduszе, lokaje, mandragory, megiery, jeden kwiatek polny, rogacze, błazny, otelle i temu podobne. Atmosfera na sali panowała niewymuszona, szczerość wzorowa i krzepiąca.

O świcie, wąskimi ulicami miasta, zdjąwszy już maski, wracaliśmy do zwykłego życia. Przyjrzałem im się uważnie.

Rozpoczynał się prawdziwy bal.

Janusz Danielak

# HYDE-PARK

*PRZYZNAJEMY lojalnie: tytuł tej rubryki pożyczyliśmy ze „Szpilek". W londyńskim Hyde-Parku jest takie miejsce, gdzie każdy może głośno mówić, co mu się podoba lub nie.*

*W kamenowym Hyde-Parku publikujemy co ciekawsze utwory naszych czytelników, które nie zmieściły się w numerze. Za udzielenie miejsca w Hyde-Parku żadnej opłaty nie pobieramy. Na specjalne życzenie autorów będziemy podawać ich imiona i nazwiska.*

*Oto fraszki p. J. K. z Olsztyna:*

CO ŁATWIEJ?

Łatwiej łapać ryby
i strzelać ptaszki
niż pisać fraszki.

DENTYSTCE

Wyleczyła mi zęby
zakładając plomby,
a taka była dziurka w zębie
jak dziupla w dębie.

*Aforyzmy nietypowe tego autora:*

„Mam takie pragnienie na twoje pocałunki jakby mi kto usta przesolił".

„Sugestia twoich ócz jest tak jadowita, że przybiegam do ciebie w takim pośpiechu jakby ukąszona przez węża".

„Przestaw się na okulistę, bo mnie zazdrość przechodzi czy badasz kobiety od góry czy od dołu? Bo skoro dociekasz jeszcze piękna, a wiem, że każda dociekliwość jest długa".

*Dla odmiany opowiadanie p. W. Z. z Rzeszowa. Z braku miejsca drukujemy tylko fragment:*

— Och... — westchnął przeciągle przymykając zaspane oczy. Mrugnął nimi kilkakrotnie uderzony jasnością rozpoczynającego się dnia. Odrzucając kołdrę na bok wyprężył się na całej długości łóżka. Głowa i stopy dotknęły drewnianych zastaw, które jękły żałośnie. Przez chwilę trwał w naprężeniu wstrzymując oddech.

— Ach! — odetchnął pełną piersią rozluźniając naprężone ciało. Fala gorącego oddechu popłynęła poprzez rozwarte usta. Przymknął powieki zamykając się we śnie marzeń...

— Anet... Anetka — szepnął bezgłośnie zwilżonymi wargami.

Zjawiła się w obrazie skomponowanym i przywołanym przez jego myśli. Obejmując jej mglistą postać przytulił twarz do poduszki grzejącej przyjemnie; kojącej jak ciepło jej ciała.

— Anet, Anet... Rozbudziłaś uczucie zakute w kajdanach życia, przywołałaś mnie doń..."

*Bohater opowiadania marzy dalej, ale w drzwiach zjawia się matka. Dialog z matką:*

— Dalej leżysz? — jej ostry, metaliczny głos przeciął brutalnie kojącą ciszę marzeń. Chciał coś powiedzieć, coś łagodnego, coś, co ukoiłoby jej napięte nerwy, lecz zamiast słów automatycznym i hardym gestem naciągnął na ciało odrzuconą kołdrę.

— Wstań — rzuciła ostro.

— Zaraz, za chwilę.

Wściekłość w jej oczach spotęgowała się silniejszym blaskiem rozżarzonych ogników. Niespodziewanie zmieniła taktykę.

— Wstań, już prawie południe...

— A odczep się, do jasnej cholery...

— Więc gnij dalej, ty byku..."

*M. D. z Katowic przysyła m. in. wiersz zbudowany — jak pisze — „na zasadzie aliteracji, można go blisko śpiewać". No to śpiewajmy w Hyde-Parku:*

„Jedno błaga, drugie krzyczy.
To jest głos sumienia i goryczy.
Była rozwódką.
Była młodziutką.

Byłeś kawalerem, chodziłeś z nią.
I co robiłeś, sam nie wiesz, co.
Mieszkała sama i nie wiesz gdzie.
Tylko chwilami, tylko przelotnie zdawało ci się.

Urządzała zabawy, rozrywki nazwałeś psotnie,
*(Byłeś kawalerem — refren jak wyżej).*

Ona twój adres zna i listy śle.
Liczyłeś, że to rozwódka.
Ona nie rozwiedziona.
Czternaście spotkań to ty i ona.

W kawiarni i w pobliżu neona,
ty w kapeluszu ona z figami (owoce).
Spacerowaliście tak nocami.
Czternaście spotkań radości..."

*Wystarczy czternaście spotkań. O następnych już nie poinformujemy...*